Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł – 8 stron | Warszawa, 23 listopada 1952 r. | Nr 47 (139) Rok III

JAKUB PRAWIN

STALINGRAD

(Wspomnienia)

Był październik 1942 roku. Z rozkazu dowództwa i zarządu politycznego Frontu Stalingradzkiego przypadł mi zaszczyt obsługiwania i zapewnienia łączności dla 62 armii, która broniła bezpośrednio Stalingradu.

Udałem się do 13 dywizji gwardii i zameldowałem się u jej sławnego dowódcy, gen. Rodimcewa.

— Nasz odcinek frontu wybrzuszył się i tym samym wydłużył — powiedział mi Rodimcew — coraz trudniej go utrzymać. Skąpe odwody operacyjne rzucam to tu, to tam, gdzie najgorecej. Ludzie upadają ze znużenia, ale walczą jak lwy — wiedzą o co walczą. Dlatego kompanie, któreście przyprowadzili, przyszły w sam raz — Rodimcew uścisnął mi rękę.

Tak, ludzie radzieccy wiedzieli o co walczą. Historia 62-ej armii była, jak dotąd, niewesoła. Trzymana w rezerwie przez zimę stała w odwodzie gdzieś nad Północnym Dońcem, kończąc swoje szkolenie bojowe i uzupełniając uzbrojenie. Aż tu nagle faszystom udało się na wiosnę 1942 roku zatrzymać nasze natarcie na Charków i przejść do długo przygotowywanej kontrofensywy na froncie od Woroneża do Morza Azowskiego. 62-ga armia, nie przygotowana do walki, otrzymała rozkaz odejścia. Nękana przez nacierające oddziały niemieckie, bombardowana bezustannie z powietrza, usiłowała wymknąć się nieprzyjacielowi. W Stalingradzie zastał ją rozkaz Stalina: zatrzymać natarcie nieprzyjacielskie — za wszelką cenę.

I zatrzymali.

DNIE I NOCE STALINGRADU

Dzień był piękny, godny „słonecznego Stalingradu". W czystym błękicie nieba zawisła rozżarzona kula słońca. Taka pogoda trwała przez cały czas aż do pierwszego śniegu; w międzyczasie wszystkiego dwa albo trzy deszcze, szybko parujące, ciepłe i krótkotrwałe. Dokuczało nam to już, powodowało często brak wody na niektórych odcinkach frontu. Pamiętam, że nierzadko musiałem się zadowolić przy myciu jednym kubkiem wody, taka była racja wydzielona przez kwatermistrza. Nic dziwnego, zdobycie wody kosztowało często życie ludzkie. Doszliśmy zresztą do takiej wprawy, że jednym kubkiem umieliśmy zrosić (bo nie obmyć) ciało do połowy; przynajmniej trochę odświeżenia.

Na dworze zwykła muzyka obstrzału, co chwilę nadlatywał samolot i zrzucał ładunek, zwykle średniokalibrowy w podłużnym rozrzucie na trasie swojego lotu. Oto dzień nękający, normalny dzień w Stalingradzie.

W Stalingradzie poruszano się wyłącznie rowami łącznikowymi, wykopanymi na pełny profil, cała wolna przestrzeń była pod obstrzałem nieprzyjacielskim z wszelkiego rodzaju broni. Najgroźniejsze były nam oczywiście miny z moździerzy i bomby lotnicze. W normalny dzień stalingradzki, bez specjalnego nasilenia bojowego, notowało się tysiąc nieprzyjacielskich samolotowylotów. Za to wąski rów łącznikowy dawał przeciwko temu doskonałe zabezpieczenie. Toteż rowy tworzyły całą skomplikowaną sieć korytarzy i ulic, często oznaczonych znanymi nazwami (Sadowoje Kolco, Ochotnyj Rjad, Niewskij Prospekt). Jak w wielkim mieście nie łatwo było się w nich zorientować. Pomagały szkice, no i kierunkowi.

Wyjrzałem z rowu. Poznałem miejsce, byłem na centralnym placu miasta. Z tyłu na prawo — „Deka", Dom Czerwonej Armii, w którym nocowałem w lipcu, kiedy mnie odkomenderowano z frontu południowo - zachodniego na świeżo tworzący się front stalingradzki. Teraz sterczały z niego tylko zgliszcza. Na wprost w prawo — fantastycznie powyginane stalowe resztki zbiorników, zbombardowanych 23 sierpnia i w ciągu następnych dni. Pamiętam, jak pod wieczór któregoś z tamtych dni benzyna i smary płonąc wylały się strugami ze zniszczonych pomieszczeń i wypalały się dopiero na Wołdze. Upiorny i groźny zarazem widok, jakby wody w Wołdze płonęły i zagradzały faszystowskim najeźdźom drogę w głąb radzieckiej ojczyzny.

Ruszyliśmy dalej. Nagle mój towarzysz, idący przodem, zatrzymał się. W tym miejscu rów przybliżał się do postrzelanego i na wpół zburzonego domu.

— To dom Pawłowa — wyjaśnił zastępca dowódcy dywizji.

Starszy sierżant Pawłow znany był w całym Stalingradzie, ba, w całym Związku Radzieckim pisano o nim w gazetach. Razem ze swoją drużyną, odcięty często od swoich, utrzymał tę wysuniętą placówkę. Mówiono o nim dowcipnie w Stalingradzie: „Nasz Pawłow bogatyj czełowiek, u niewo jest dom w Stalingradzie, no tam niemcew nie pripisywajut" *).

Rów stawał się płytki. Twardy grunt — resztki fundamentów czy też jakaś skalna opoka — nie pozwalał na jego pogłębienie. Był tym płytszy, że naokoło szczególnie zorany pociskami.

Naprzeciw domu Pawłowa, po drugiej stronie placyku stał inny wyższy dom, zajęty przez Niemców. Z wieżyczki tego domu Niemcy mieli doskonały punkt obserwacyjny na to płytkie miejsce rowu i przy zauważeniu najmniejszego tam ruchu otwierali ogień z moździerzy i kaemów. Przyciśnięci do ściany rowu widzieliśmy ich dokładnie przez szkła, obserwujących również przez polowe lornety to wrażliwe miejsce. Można było to miejsce tylko przepełznąć, a i to w dzień wielkie ryzyko. Zrobiliśmy inaczej, po stalingradzku. Na długim kiju poruszaliśmy czapkę wzdłuż rowu tak, aby nieco wystawała. Natychmiast obruszył się na nią deszcz min i długie serie z kaemów, cała uwaga Niemców skupiona była na to miejsce. Wtedy my cofnęliśmy się szybko kilkadziesiąt kroków, wyskoczyliśmy z rowu i jednym susem wpadliśmy do domu Pawłowa.

— Jak tam, towarzysze?

— Wszystko w porządku, towarzyszu dowódco — odpowiedział Pawłow.

— A nam coraz lepiej się powodzi. Okrzepliśmy, nauczyliśmy się wojować, bijemy faszystów, zaopatrzenie z tamtej strony Wołgi regularne. A i posiłki nadchodzą.— Starszy komisarz batalionowy na chwilę przerwał. — Przybyła pomoc kilku kompanii. Jeszcze dziś was zmienią.

Wszyscy się ożywili.

— Nie chodzi o zmianę. Chodzi o to, że można się będzie wreszcie tego wyspać.

Pożegnaliśmy się i powyżej domu Pawłowa wskoczyliśmy znowu do rowu łącznikowego.

NIEPRZYJACIEL ATAKUJE

Kanonada była ogłuszająca, koncentracja ogniowa trwała już długą godzinę. Przez cały czas samoloty niemieckie nalatywały falami. Dorniery, Junkiersy, Heinkle nurkowały i zrzucały na nas swe śmiercionośne ładunki. Zdawało się, że nikt z nas nie pozostanie przy życiu. Na punkcie obserwacyjnym batalionu wypatrywaliśmy pilnie, pewnie zaraz rozpocznie się atak.

Ogień przeciągał się. Nagle wał ogniowy skoczył o jakie 200 m za nas. Poprzez dym i kurz, z głębi, z ruin zburzonych domów, zaczęły na nas wypełzać ciemne plamy i łączyć się coraz bardziej, aż utworzyły jednolity ciemny pas. Co to jest? Przypadliśmy do szkieł. Pierwszy odezwał się dowódca batalionu.

— Psychiczny atak — wyszeptał zdumiony. — Oszaleli, nachały. Oni myślą, że to 1941. No, damy im bobu. Przygotować obronę — zwrócił się energicznie do otaczających oficerów. — Trzymać mi celowniczych, niech dopuszczą na 100, na 50 m. Moździerze w pogotowiu. Artyleria — zwrócił się do obserwatora wiszącego u stuchawki — niech dławi punkty ogniowe nieprzyjaciela.

Skoczyłem z innymi do okopów. Straty były duże. Wokół leżały nieludzko postrzępione trupy, ranni jęczeli przejmująco. Tym mniej w okopach panował ruch. Żołnierze przywarli do ścian i zajmowali najdogodniejsze pozycje, rozkładając na podorędziu ręczne granaty. Celowniczy zrywali z ocalałych karabinów maszynowych koce i szynele, którymi okryli je na czas artyleryjskiego obstrzału. Padły słowa komendy, wszystko zamarło. Mogło się rzeczywiście wydawać, że w okopach nie ocalał ani jeden człowiek. Trwał tylko pojedynek artyleryjski. Ogień nieprzyjacielski słabł szybko, nasze działa widocznie popracowały rzetelnie.

Niemcy zbliżali się coraz bardziej. Widać już było oddzielnych żołnierzy, oddzianych w ciemnozielone mundury. Szli bezładnie, kupnie jak na początku wojny, kiedy znaczna przewaga w technice, czołgach i samolotach torowała im drogę. Stąpali niepewnie, widać było, że są pijani, coś krzyczeli czy śpiewali.

Napięcie u nas było wielkie. Celowniczy, przy którym stałem, trzymał kciuki na spuście, ręce mu drżały. Jeszcze minuta, jeszcze pół. Ognia!

Kaemy zagrały długimi seriami, wmieszały się w to świsty min. Zaczął się pogrom.

W pewnej chwili ogień przerwano.

— Za rodinu, za Stalina — krzyknęli oficerowie polityczni i pierwsi wyskoczyli z okopów do kontrataku. Żołnierze ruszyli za nimi. Z drugiego rzutu podeszła jedna ze świeżo przybyłych kompanii. Ruszyła naprzód na swój chrzest bojowy.

— Chodźcie zabezpieczyć języka — krzyknął do mnie zastępca dowódcy dywizji. Skoczyliśmy z innymi.

Jeńcy byli z dywizji SS. Sprowadzono ich świeżo na front i opowiedziano, że Stalingrad jest na wykończeniu. Należy tylko brawurowym atakiem ostatecznie zająć miasto, osiągnąć zwycięstwo. Im przypadnie ten honor przed führerem. Spojono ich wódką i pognano do ataku.

Był to ostatni atak psychiczny na naszym froncie.

KOMUNIŚCI — WYSTĄP!

Na punkcie dowodzenia jednego z pułków 284 dywizji strzeleckiej panowało zdenerwowanie. Przed nami w odległości przeszło 400 m. wznosił się Kurhan Mamaja. Bliżej na 150 do 200 m. ciągnęły się w prawo i w lewo gruzy zbombardowanych zabudowań, z tyłu dworzec towarowy, zastawiony rozbitymi i spalonymi wagonami. Nieprzyjaciel prowadził nieprzerwany atak na wzgórze, którego broniły nasze zahartowane i wypróbowane kompanie. Ale położenie się pogarszało. Wróg usiłował odciąć i okrążyć „wzniesienie 102,5". Położył potężną zaporę ogniową z dział i moździerzy między nami a wzgórzem, aby nie dopuścić do nawiązania łączności. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że Niemcom udało się obejść południowy stok wzgórza i usadowić tam gniazdo karabinów maszynowych które trzymało pod obstrzałem całą otwartą, około 200-metrową przestrzeń między gruzami a wzgórzem. Trzy razy już podnosiły się dziś kompanie 2 i 3 batalio-

(Dokończenie na str. 2-ej)

*) Bogaty z niego człowiek, ma własny dom w Stalingradzie, tylko tam Niemców nie meldują...



Maria Dąbrowska

JERZY ANDRZEJEWSKI

Jubileusz Marii Dąbrowskiej

Uroczysty jubileusz 40-lecia pracy twórczej Marii Dąbrowskiej, który odbył się w dniu 17.XI. b r. w Związku Literatów Polskich, stał się wielkim świętem świata pisarskiego i gorącą manifestacją uczuć wszystkich czytelników dla dzieła znakomitej autorki „Nocy i dni". Minister Kultury i Sztuki udekorował Marię Dąbrowską nadanym Jej przez Prezydenta Rzeczypospolitej Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Imieniem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich powitał Jubilatkę prezes ZLP Leon Kruczkowski, odczytując następnie tekst depeszy gratulacyjnej, przesłanej przez prezesa Rady Ministrów Józefa Cyrankiewicza.

Referat o twórczości Marii Dąbrowskiej, wygłoszony przez Jerzego Andrzejewskiego, drukujemy obok.

Z pisarzy zabrali ponadto głos, składając serdeczne życzenia Jubilatce, Zofia Nałkowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Breza, Julian Przyboś i Adolf Rudnicki.

Obszerniejsze sprawozdanie z uroczystości jubileuszowej zamieścimy w numerze następnym. **(Red.)**

Jestem pewien, że wyrażę myśli wszystkich polskich pisarzy, więcej: że wyrażę myśli wielu, wielu tysięcy przyjaciół i wielbicieli twórczości autorki „Ludzi stamtąd" i „Nocy i dni", jeśli powiem, że te wszystkie dobre uczucia, jakie w ciągu minionych lat żywiliśmy dla Marii Dąbrowskiej, dzisiaj kierujemy je ku Niej ze szczególną przyjaźnią, szacunkiem i miłością.

Czterdzieści lat! Każdy z obecnych tu pojmuje, jak zmienna i trudna była ta przestrzeń życia, a równocześnie ile gwałtownych dramatów wstrząsało podówczas samymi podstawami istnienia i jaki bezmiar cierpień, poniżeń, niepokojów i zwątpień napastował był człowieka. Zatem i ci, którzy własną pamięcią ogarniają ów miniony czas, i ci młodzi, do których już tylko wieść ustna i pisana o tamtych latach dociera — wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak w owym burzliwym okresie niełatwą rzeczą było dobrze służyć swemu narodowi pisarstwem, to znaczy służyć mu myślą i kształtem piękna w sposób zgodny z potrzebami i pragnieniami narodu.

Kto w pisarstwie widzi najpierwszą rację własnego życia, ten pragnie na miarę swojej świadomości, wiedzy i talentu tak pisać, aby myślą i celnością słowa porządkować i wartościować świat, w którym żyjemy, a więc tym samym wspomagać ludzi w ich przemianach równie dramatycznych i trudnych, jak dramatyczną i trudną jest nasza wielka, rewolucyjna epoka. Można naszej literaturze współczesnej stawiać wiele i to nielekkich zarzutów, lecz cokolwiek w trosce o nią samą będzie się jej zarzucać — jedno dla umysłów nieuprzedzonych jest w naszym obecnym piśmiennictwie oczywiste: jest to piśmiennictwo zaangażowane po stronie nowego słusznego porządku społecznego i moralnego; jest to piśmiennictwo, które wyszło ze ślepych zaułków osamotnienia i choć nierzadko zbyt jest jeszcze wątłe, nieśmiałe i nie dość gniewne i zakochane — posiada przecież przed sobą rozległe i wspaniałe perspektywy wzrostu i dojrzewania. I myślę, że właśnie ten ożywczy, młody i ku słusznej walce i uczuciom nakłaniający się powiew, jaki daje się odczuć w naszym piśmiennictwie, sprawia, że siłą tego odrodzenia ogarniamy coraz pełniej nie tylko nasze własne pisarskie doświadczenia i zadania, lecz również i takie wydarzenia literackie, które jak obchody jubileuszowe bywały w dawniejszych czasach zwrócone raczej ku temu, co już było minęło, niż ku temu, co nadchodzi.

Podziękować pisarzowi za trud jego wieloletniej pracy, za to, że śmiało i pięknie służył sztuce, słowu polskiemu, narodowi, a równocześnie zastanowić się przy tej nieczęstej okazji nad dorobkiem twórcy, aby z całego jego złożonego bogactwa, z różnorodnych elementów, wątków i tematów te przede wszystkim wydobyć, które nam wszystkim mogą być pomocne teraz, dzisiaj, wzbogacając nasze umysły i serca, wspomagając nas w naszej walce o ideową i artystyczną pełnię socjalistycznego humanizmu w sztuce — oto, jak mi się wydaje, rzeczywisty sens naszych literackich jubileuszów.

Myślę, że gdy w ciągu ostatnich lat kilku tak wiele u nas uczyniono dla ukazania w pełnym i prawdziwym blasku naszych postępowych tradycji narodowych, gdy po latach kłamstw i fałszów rozpanoszonych w tej dziedzinie zbiorowy wysiłek naszych naukowców przywraca dzisiaj do życia całą porywającą śmiałość myśli naszych dawnych poetów, prozaików i myślicieli — to wciąż jeszcze w sposób niedostateczny sięgamy do dzieł naszych znakomitych współczesnych pisarzy starszego pokolenia, a przecież niejednokrotnie w tych właśnie dziełach dwudziestolecia międzywojennego, obok treści już nam nieprzydatnych, brzmiących fałszywie, a niekiedy wręcz obco, znaleźć możemy treści inne: te wciąż żywe, twórcze, ciągle młode i całą swoją urodą przydatne temu, by stać się mogły źródłem inspiracji i natchnienia dla literatury naszych dni. Twórczość Marii Dąbrowskiej dostarcza nam w tym względzie doświadczeń szczególnie, jak mi się wydaje, wartościowych i to zarówno dla nas pisarzy, jak i dla prawidłowego rozwoju polskiej literatury. To jasne, że niejedna dawna ideowa propozycja Marii Dąbrowskiej, niejedna jej dawna ocena zjawisk społecznych, gospodarczych, a również i moralnych nie może być zaakceptowana przez umysł oceniający rzeczywistość kategoriami światopoglądu materialistycznego. Również jest rzeczą jasną, że szlachetna i głęboko odpowiedzialna manifestacja postępowej postawy, jaką znajdujemy w wielu dziełach Marii Dąbrowskiej. zachowuje swoją prawdziwą wymowę przede wszystkim na tle kontekstu historycznego. Kiedy jednak spojrzymy na całość dotychczasowej twórczości autorki „Znaków życia" — któż nie dojrzy, że w tym potężnym bloku wzniesionym najczystszą prozą, jaką zna polska literatura, pulsują również źródła nie zastygłe, nie wyschnięte — przeciwnie: żywe i świeże, z których właśnie dzisiaj czerpać możemy mądrość i piękno.

W jednym z licznych opowiadań Marii Dąbrowskiej pisanych dla młodzieży, a zatytułowanym „Pierwszy dzień w szkole", młoda nauczycielka pisze takie zdanie na tablicy: „N i k t n i k o m u n a ś w i e c i e n i e j e s t o b c y". Myślę, że właśnie to króciutkie, a wielowiekową tradycją humanistyczną ożywione zdanie mogłoby posłużyć za motto do całej twórczości Marii Dąbrowskiej. Istotnie, w naszej współczesnej literaturze niewiele znalazłoby się osobowości twórczych, których umysł i serce byłyby w takim jak u Dąbrowskiej rozległym zasięgu otwarte na życie i sprawy człowieka. Lecz z drugiej strony, śledząc rozwój pisarski Dąbrowskiej od jej pierwszych broszur o kooperatyzmie w Belgii i Finlandii, poprzez „Uśmiech dzieciństwa", „Ludzi stamtąd", utwory dla młodzieży, tomy „Nocy i dni", publicystykę z rozprawą „Rozdroże" na czele, „Znaki życia", dramaty historyczne o Władysławie IV i Bolesławie Śmiałym aż po ostatnie już po wojnie drukowane fragmenty, można, jak się zdaje, zaryzykować tezę, że m. in. właśnie cena ludzkiego istnienia tak wysoko, mocno i żarliwie postawiona przez Dąbrowską spowodowała pewien rozdźwięk, jaki daje się w jej twórczości zauważyć pomiędzy ostrością widzenia społecznej krzywdy i niesprawiedliwości a nienadążającymi za tym obrazem praktycznymi wnioskami ideologicznymi.

Nie z tego też rozdźwięku płynie ku nam z twórczości Marii Dąbrowskiej czyste i nas wzbogacające źródło. Twierdzimy, że rewolucja wraz z jej bezkompromisową siłą niszczącą wrogów nie tylko humanistycznemu stosunkowi do człowieka nie przeczy, lecz przeciwnie: udziela mu racji prawdziwie pełnych i twórczych, racji walczących, ponieważ uwalnia miliony ludzi, łamiąc jednostki żyjące z wyzysku milionów. Gdy już jednak o tym mowa, to nie wydaje mi się, aby nasza młoda literatura socjalistyczna wykorzystywała w całej pełni swoje obowiązki humanistyczne i kształtując typ nowego człowieka towarzyszyła jednocześnie mądrze i wiernie milionom rodaków w ich powszednich „dniach i nocach" naszej obecnej rzeczywistości. Czy nasi ludzie pracy, robotnicy, chłopi, inteligenci znajdują w naszej współczesnej literaturze prawdziwy obraz swego życia, obraz swych codziennych osiągnięć i załamań, entuzjazmów i wątpliwości, radości i trosk? Czy my, pisarze, dostatecznie pilnie wsłuchujemy się w myśli i uczucia naszych czytelników? Czy szanujemy ich tak, jak na to zasługują, a zasługują przecież na szacunek miary największej, ponieważ żyją i pracują w czasach wyjątkowo gwałtownych i trudnych i przed wielkością tych czasów nie dezerterują, lecz przeciwnie: coraz mocniej ujmują losy ojczyzny w swoje dłonie? Czy zawsze znajdujemy słowa dość mocne, prawdziwe i przez nas samych do końca przemyślane i przeżyte, aby skutecznie wsparły wątpiących, dodały sił zbyt słabym, niepokój uciszyły, a męstwu i słusznej nadziei dodały skrzydeł? Czy kochają nas i szanują nasi czytelnicy?

Nie nauczymy się u Marii Dąbrowskiej nienawiści do wrogów. Samo życie i nasza świadomość ideowa niech tę nienawiść zaostrzają i potęgują. Jeśli natomiast nasze wiersze i dramaty, powieści i opowiadania mają rzeczywiście towarzyszyć n a s z y m ludziom, jeśli mają wspomagać ich i kształtować, to gdzie w najbliższej nam literaturze, jeśli nie w książkach Marii Dąbrowskiej możemy sięgnąć po bo-

(Dokończenie na str. 3-ej)

* * *

W atmosferze pełnej wzruszenia Maria Dąbrowska odpowiedziała na złożone jej życzenia następującymi słowami:

Dziękuję Prezydentowi Rzeczypospolitej, Premierowi Rządu i Ministrowi Kultury i Sztuki za życzliwość okazaną mojej twórczości.

Dziękuję pisarzom, którzy w swych przemówieniach złożyli mi bezcenne dowody serca i zrozumienia, oraz artystom, którzy uświetnili ten wieczór swoją sztuką.

Dziękuję tym kolegom i tym pracownikom Związku, którzy trudzili się nad urządzeniem tego wieczoru najczulej mnie wzruszającego.

Dziękuję Wam, koledzy i przyjaciele, co zechcieliście tu przybyć zaświadczając, że nie jest Wam obojętne 40 lat pracy pisarza.

Dziękuję moim byłym i jedynym od młodości do ostatniej wojny wydawcom: Związkowi Spółdzielczemu „Społem", oraz Janinie i nieżyjącemu Jakubowi Mortkowiczom, którym zawdzięczam, że w młodocianych początkach mojej pracy nie zaznałam upokarzającego zabiegania o możność druku, i którzy nawet w owoczesnych warunkach starali się mnie uchronić przed wyzyskiem pracy pisarza.

Dziękuję moim teraźniejszym wydawcom, wydawcom Polski Ludowej, którzy dali mi poznać radość dużych nakładów i radość dotarcia do znacznie szerszych rzesz czytelniczych.

Dziękuję tym licznym prostym, pracującym ludziom mego kraju, co byli mi i pozostali przyjaciółmi, i którym zawdzięczam najlepsze może karty moich utworów.

Dziękuję wszystkim, co złożyli mi dzisiaj życzenia.

A nade wszystko — dziękuję Narodowi Polskiemu za to, czym mnie uczynił, za wszystko, co mi dał, a czego moja twórczość mizerną tylko jest odpłatą.

Ojczyźnie mojej, a przez nią w miarę możności człowiekowi pracy na świecie w ogóle, resztę mojego życia i trudów ze wszystkkich sił moich oddać pragnę.

Maria Dąbrowska

STALINGRAD

(Dokończenie ze str. 1-ej)

nu do szturmu, dochodziły do gruzów i zmuszone były zawracać. Nic dziwnego. Istnieje takie powiedzenie żołnierskie: „widziałem ludzi, którzy przeszli przez ogień zaporowy artylerii, moździerzy, przez dywan bombowy, ale człowieka, który przeszedł przez ogień zaporowy karabinu maszynowego jeszcze nie widziałem, bo taki nie istnieje". Tak jest w istocie. Dobrze ustawiony karabin maszynowy może zatrzymać każde natarcie.

Żołnierze byli zmęczeni i zniechęceni niepowodzeniem. Zbili się w gromadę i patrzyli ponuro ku wzgórzu, które znikało w dymie i kurzawie obstrzału.

— Czy jest łączność z naszymi na wzgórzu? — zapytał dowódca pułku.

— Tak jest.

— Połączcie się i zapytajcie o położenie.

— Słowik, słowik — wołał radzista do polowego aparatu radiowego — tu fiołek, tu fiołek. Słyszycie mnie, słyszycie mnie? Odbieram, odbieram.

Nastąpiła wymiana zaszyfrowanych meldunków.

— Trzymają się dobrze — meldował następnie radzista — straty niezbyt duże, mają silne umocnienia. Brak im dokładnego rozpoznania, nie sądzą, że faszyści chcą ich otoczyć. Najgorsze, że amunicji mają najwyżej na 3 godziny i dlatego oczekują, że się wkrótce do nich przebijemy.

Sytuacja stawała się groźna, nie było czasu do tracenia, należało szybko działać.

— Jest jedno wyjście — odezwał się dowódca 2 batalionu — zniszczyć nieprzyjacielskie gniazdo karabinów maszynowych.

— Ale jak — wyrwał się odruchowo jeden z żołnierzy — przy takim obstrzale!

Major skarcił go surowym spojrzeniem.

Dowódcy porozumieli się szybko.

— Drugi batalion zbiórka — padła komenda.

— Komuniści wystąp — nastąpiła druga komenda.

— Moja decyzja — dyktował dowódca batalionu. — Grupa komunistów obejdzie i zniszczy nieprzyjacielskie gniazdo karabinów maszynowych. Poprowadzi politruk batalionu — spojrzał ciepło na swego zastępcę. — Kompanie wychodzą natychmiast na pozycje wyjściowe w gruzach, ostrzeliwując silnie nieprzyjaciela i ściągając na siebie jego uwagę. Wspierają i współdziałają kompanie sąsiadującego 3-go batalionu. Po zniszczeniu gniazda dam rakietami znak do szturmu.

Żołnierze patrzyli z powagą i uznaniem na swych współtowarzyszy - komunistów, ale bez zdziwienia. Honor wykonywania najtrudniejszych zadań bojowych na froncie brali na siebie ci, którzy przodowali i przewodzili w rewolucji, w wojnie domowej, w budownictwie socjalistycznym — członkowie partii Lenina-Stalina.

W okopach zawrzało, minęły przygnębienie i bezradność, żołnierze mieli przed sobą jasne zadania. Sprawdzali automaty, erkaemy, pakowali do kieszeni „cytrynki".

Tyraliery wychodziły z okopów i skokami posuwały się ku gruzom, gęsto strzelając.

Upłynęła przeszło godzina naprężonego oczekiwania, nie padło ani jedno słowo, tylko kanonada dudniła nieprzerwanie.

Nagle odskoczyliśmy od szkieł.

— Dawaj rakiety — zwrócił się spokojnie major do swego ordynansa trzymającego w pogotowiu rakietnice.

Trzy czerwone i dwie zielone rakiety na przemian wyleciały w górę. Kompanie podniosły się z gruzów i ruszyły na wzgórze.

KONDOTIER BEZ OJCZYZNY

Sredniaja (środkowa) Achtuba na lewym brzegu Wołgi, siedziba Zarządu Politycznego naszego frontu, żyła normalnym życiem frontowym.

W naszym wydziale dyskutowaliśmy nad nowym dekretem rządowym o zrównaniu stopni oficerów politycznych z oficerami liniowymi. Obaj na równi odpowiadają za wychowanie bojowe i polityczne swoich oddziałów, obaj nimi dowodzą. Oficer liniowy jest dowódcą, polityczny pierwszym jego zastępcą. Wzmocnienie odpowiedzialności indywidualnej.

— Już nie będziecie pułkowym komisarzem — zwróciłem się do Tiulpanowa, naszego szefa — tylko pułkownikiem.

— A wy nie będziecie komisarzami batalionowymi — odpowiedział mnie i Kolskiemu, którego szczególnie lubił — lecz majorami.

Odezwały się zenitówki, nikt nie zwrócił uwagi, rzecz zwyczajna. Ogień przybliżał się i nagle urwał, jak nożem przecięty. Wyskoczyliśmy przed chatę.

Na niskiej wysokości przybliżał się Messerschmidt, salutował przechylając się ze skrzydła na skrzydło i szykował się do siadania na szerokim ściernisku. Splanował i siadł.

Z samolotu wysiedli: młody porucznik - lotnik i sierżant - szturman. Z początku nic nie można było z nich wydobyć przy przesłuchaniu. Sierżant był zawodowym, jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Coś tam bełkotał niejasno i patrzał w oficera, jak w tęczę. Ten znów 21-letni syn fabrykanta przyznał, że był w Hitlerjugend (pewnie był też w NSDAP — ale do tego bał się przyznać) i powtarzał w kółko, że wojna im obrzydła i dlatego przylecieli do niewoli. Jak długo byli na froncie? Trzy miesiące. Co robił przedtem? Był w szkole lotniczej instruktorem.

Nie wierzyłem wyjaśnieniom. Nie pamiętam już, jak utrafiłem we właściwy ton, że zaczął gadać. Chlusnęło z niego jak lawina.

— Ja nie tylko byłem najlepszym instruktorem, ale i najlepszym lotnikiem, zdobyłem mnóstwo nagród w zawodach. Nie chcieli mnie przez cały czas puścić ze szkoły, byłem im tam potrzebny. Ale ja chciałem pokazać, co umiem, chciałem zestrzeliwać samoloty, otrzymywać odznaczenia, awansować szybko. Zajęcia w szkole mnie nudziły.

Sierżant wpatrywał się w niego i potakiwał z zachwytem.

— Zgłosiłem się na front jako ochotnik, przydzielono mnie do eskadry. Ale jaką dawano mi robotę? Barażowanie. Patrolowałem, dopóki nie pokazywały się radzieckie samoloty. Kiedy sygnalizowałem ich zjawienie, dostawałem zaraz rozkaz siadania. I wylatywali oni, stare zupaki, oni strzelali, oni dostawali ordery i gwiazdki. A ja umiałem 10 razy więcej niż najlepszy z nich, niż sam kapitan. Nieraz meldowałem się do kapitana, tłumaczyłem, błagałem. Niech mi pozwoli latać, strzelać, ja mu pokażę co umiem. Spokój, mały, mówił, masz jeszcze czas, ucz się od nas starych, jak się to robi. Ja się mam od nich uczyć. Oni wszyscy mogliby się u mnie uczyć, wszyscy, kapitan też...

— Aż raz nie wytrzymałem. Wczoraj wasi nadlatują, dostaję rozkaz siadania. Nie siadłem. Eskadra się wzbija, kapitan podlatuje blisko mnie, wygraża mi pięścią i władczym ruchem każe siadać. Zakipiało we mnie. Dałem serię w jego samolot. Zleciał. Kapitan wyskoczył ze spadochronem. A ja drugą serię po spadochronie. Cóż mi pozostawało, musiałem do was przylecieć.

I nagle rzucił się przed nami na kolana.

— Pozwólcie mi latać, błagam. Będę dla was latał, strzelał, strącał samoloty. Zobaczycie, co ja umiem.

Milczeliśmy wstrząśnięci. Oto klęczał przed nami młody faszysta, hitlerowski wychowanek, kondotier bez ojczyzny, wyzuty z ludzkich uczuć. Błaga, aby mu pozwolono popisać się swoją sztuką mordowania, dogodzić swej sadystycznej próżności.

BOHATEROWIE RADZIECCY

Rada Wojenna i kierownictwo Zarządu Politycznego postanowiło wystosować list do towarzysza Stalina na 25 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej z zapewnieniem, że wykonamy jego rozkaz z honorem, obronimy jego miasto i rozbijemy faszystów. Należało przeprowadzić odpowiednią kampanię polityczną w oddziałach i zebrać podpisy przodujących żołnierzy i oficerów, bohaterów Stalingradu. Rozjechaliśmy się po armiach, Kolski na południe do swojej 57-ej, ja wespół z kilku innymi do 62-ej. Starszy grupy wyznaczył mi tym razem północną część miasta, ugrupowanie płk Gorochowa.

Po zachodzie słońca przeprawiłem się na „Kazbeku", kutrze pancernym, bohaterze wołżańskich wód. Na posterunku dowództwa, w obszernej ziemiance, przezwanej salonem, zastępca dowódcy ppłk Grekow rozdawał ordery i medale 92 odznaczonym. Przychodzili drobnymi grupami ze swoich odcinków, w miarę jak pozwalała na to sytuacja bojowa. Przeprowadzaliśmy pogadanki o liście, żołnierze i oficerowie podejmowali z okazji święta Rewolucji bojowe zobowiązania. Po skończeniu udaliśmy się na przednią linię, w codzienny obchód.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Znów przesuwały się postacie bohaterów. Strzelec wyborowy Pietrow, kosooki Buriat, myśliwy z zawodu, który miał na swoim „koncie osobistym" przeszło 150 faszystów. Siłacz Lewitan, Żyd odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru. Wynosił po trzech rannych na raz, razem z ich bronią, zlikwidował grupę hitlerowców, którzy niepostrzeżenie przedostali się na tyły pozycji obronnej. St. lejtnant Tkalenko, dowódca batalionu z wyglądu łudząco podobny do Czapajewa, którego batalion w całodziennym 9-godzinnym zażartym boju na ręczne granaty utrzymał pozycję; Tkalenko osobiście podbił dwa nieprzyjacielskie czołgi. Jego zastępca polityczny, mistrz w miotaniu ręcznych granatów lejtnant Kiszkin, dowódca baterii ciężkich moździerzy 82 mm, wytrzymał wielogodzinny huraganowy ogień nieprzyjaciela i zniszczył jego działa. Sierżant Skoriew, szeregowy Czigirus „druciarz", Simonienko, Risbajew i wielu, wielu innych, setki, tysiące radzieckich ludzi.

Ściemniło się, przysiedliśmy na wysuniętej placówce. Powietrze wypełniał szum naszych samolotów, które wylatywały na swoją conocną robotę. Atakowały punkty w mieście, zajęte przez Niemców. Cekaemy przeciwlotnicze i wielkokalibrowe kaemy samolotów rozmawiały ze sobą różnobarwnymi pociskami świetlnymi. Frontowy fajerwerk. Bomby rozrywały się, wybuchały pożary. Latały przeważnie U2. Taki znak nosi powszechnie znany u nas dwupłatowiec przezywany „kukuruźnikiem". W Armii Radzieckiej zwano go z rosyjska od znaku U „utka" (kaczuszka). Zachwycająca maszyna oddawała nieocenione usługi, zwłaszcza w Stalingradzie. Używane jako bombowce U2 tworzyły armię lotniczą, wyróżnioną później gwardyjskim tytułem. Armią tą dowodziła Gromowa, bohater Związku Radzieckiego.

Był to samolot ćwiczebny, szkolny i produkcja jego miała być z wybuchem wojny wstrzymana. Tymczasem wykazał nieoczekiwane walory nie tylko w służbie sanitarnej i łączności, ale też w bombardowaniu. Przy swojej małej szybkości — 100 do 120 km/godz. — mógł wyjść dokładnie na cel i precyzyjnie bombardować. Taktyka jego polegała na tym, że w dzień szybował bardzo nisko, tak nisko, że musiał się podnosić, aby „przeskoczyć" drzewa, druty telegraficzne, domy piętrowe. Przez to przy zbliżaniu się nie widziano go z daleka ani słyszano. Nagle wynurzał się zza horyzontu, zawisał nad okopem lub domem jak jastrząb, zrzucał ładunek — często po prostu miny lub ręcznie ciskane granaty i natychmiast znikał lotem koszącym. Nim wróg ochłonął, jego już nie było. Działo p-lot go nie brało, nie było czasu nastawić cekaemu, ręcznej broni się nie bał. Nierzadko wracał do bazy z kilkunastu dziurami i siadał „bez zająknięcia".

Niemcy bali się go panicznie. Nazywali go Iwan i twierdzili, że stoi w powietrzu nad okopem i atakuje poszczególnych ludzi, a wtedy nie ma przed nim ratunku.

W Stalingradzie U2 miały używanie. Pracowały nocą. Wzbijały się w górę po drugiej stronie Wołgi, wyłączały gaz, splanowywały na cel oświetlony pożarami lub postawionymi świecami, zrzucały bombę i wówczas po włączeniu motoru szybko znikały na niskim pułapie.

— Ten dom nam wciąż jeszcze przeszkadza — wskazał st. lejtnant Szkalenko na ruiny mocnego widać budynku, który w odległości 250 m zamykał przedpole. — Tyle razy podawaliśmy do sztabu frontu. A wystarczyłoby...

Nie dokończył. Błysk, słup ognia i dymu, a potem ogłuszający huk.

— Nareszcie — odetchnął Szkalenko — frice kaput. A bruździli, cholery.

Tuż nad naszymi głowami zaterkotała utka, sucho, rozwlekle jak traktor. Zadarliśmy głowy w górę. Poprzez terkot przebijał śpiew i zawodzące dźwięki harmonii. Aha, znałem tę parę. Zawsze w powrotnej drodze z roboty lotnik śpiewał, a szturman przygrywał mu na bajanie. Obracali ze trzy razy na noc.

— „Do swidania na Unter den Linden" — doleciały z samolotu strzępy modnej wówczas w Stalingradzie frontowej piosenki.

(Dokończenie w następnym numerze)

Jakub Prawin

ADAM WŁODEK

SPRAWA OSOBISTA

(Z mowy Hitlera z 9 listopada 1942: „Stalingrad jest w naszych rękach. W kilkunastu domach siedzą jeszcze Rosjanie. Niech sobie siedzą. To ich osobista sprawa".)

Sanitariuszka ranna w nogę
nie przerwie pracy pod kulami,
jakże by spocząć teraz mogła,
skoro tak cierpią ciężej ranni.
A ciężej ranny też zaledwie
z jej opatrunku chce skorzystać
i do szpitala nie odejdzie
gdyż wre tu — sprawa osobista.

W nawyk powszedni — bohaterstwo
przerosło w owe dni obrony,
wśród ruin stawał po żołniersku
człowiek co wczoraj wzniósł te domy.
Krasnoarmiejec w locie granat
jak piłkę chwytał — i faszystom
z rozmachem granat ten oddawał,
przejęty sprawą osobistą.

I umiał być dowódca gońcem,
i umiał objąć szeregowy
komendę pułku. W chleba kromce
przydział się mieścił kilkudniowy.
Aż stało się wrogowi ciasno
tam, gdzie sam pętlę chciał zacisnąć —
gdyż było to radzieckie miasto
ludzkości sprawą osobistą.

KRUM PENEW

PAŹDZIERNIKOWE POZDROWIENIE

To Wy — żołnierze w siwych płaszczach.
By Was opisać słów mi braknie.
Październik świeci w oczach waszych,
W sercach pulsuje ciepło bratnie.

Poprzez szerokie, wolne stepy,
Po śladach pułków faszystowskich,
Szliście, a wróg krwiożerczo ślepy
Palił w odwrocie Wasze wioski.

Wasz los na zawsze będzie naszym.
Przynieśliście na naszą ziemię
Wolność, o której naród marzył,
My znamy tej wolności cenę.

Dziś, kiedy pożar wojny ostygł,
Wdzięczności nie pomieści strofa...
Armio spod Stalingradu, Moskwy,
Któż inny mógłby Cię tak kochać,

Jeśli nie ci, co wieczorami,
Po pracy, głodni, drżący z zimna,
Czerpali siłę jak dynamit
Z książek Lenina i Stalina.

Marzenia nasze w jedno splata
Dążenie naprzód, które wlało
Krew w żyły zmurszałego świata
I w przyszłość szlak utorowało.

przełożył **Stefan Zawadzki**

Z teki rysunków stalingradzkich J. Witza



„Tu trwali aż do śmierci gwardziści Rodimcewa"



Na Centralnym Placu



Kominy



Jeńcy



Na wyzwolonej ziemi

MARIA DĄBROWSKA

FRAGMENT ROZDZIAŁU POWIEŚCI

W jeden z pierwszych dni marca 1943 roku, około dziesiątej wieczorem, Józef Tomyski wyszedł do bramy, aby czekać na samochód Centrali Spółdzielczej, którym lustrator Sercenko miał po niego zajechać. W bramie towarzyszył mu dozorca, Jan Wiśniaty. Jego pokrętny wąs i ozdobne rysy twarzy majaczyły niewyraźnie w sinym światełku osłoniętej modrym papierem żarówki.

— Cóż, panie Janie — zagadywał Tomyski. — Jakoś nie widać końca tej naszej biedy? Papieroska?

— Czemu nie?

Obaj pośpiesznie obmacali swoje kieszenie i jednocześnie podali sobie ognia. Wiśniaty zaciągnął się, odczekał mgnienie i udzielił odpowiedzi.

— Koniec, ma się rozumieć, bywa każdej rzeczy. Ale — zapytał z kolei — kto zrobił ten początek?

I sam po chwili wyszczególnił:

— Cywilizacja. Kultura. Nauka, panie. Inteligencja, panie. A wyszło? Z przeproszeniem pana — wielki smród. Czasy!

— Czasy! — zgodził się Tomyski i wyjrzał przez krągłe okienko bramy. Na ulicy było ciemno, hałaśliwie od wiatru i pusto.

— Ale huragan, panie Janie. I co pan powie! Rano był mróz, a teraz ciepło jak w kwietniu.

— Idzie do wiosny...

— „W górach jest dziś na pewno halny — myślał Tomyski — Ludmiła nie lubi wiatru ani gór. Wątpię, żebym zastał jeszcze śnieg w Smrekowinie. A może? Wiśniaty chce, żebym z nim pofilozofował. A ja nie mam ochoty. Dziwne, że tyle się człowiek nawłóczył, a nie byłem nigdy w tej Smrekowinie".

Wyjrzał znowu i spostrzegł, że mrok ulicy zaczyna połyskiwać nasilającym się sinawym blaskiem.

— Jedzie — oznajmił, a w tejże chwili czarny kształt samochodu wpłynął bezszelestnie w obręb okienka; zabłękitnione latarnie auta przygasły.

— Niech pan otwiera. Do widzenia, kochany. Adres panu dałem? Proszę pamiętać o mojej żonie.

— Ma się rozumieć. Niech pan będzie spokojny. Szczęśliwej drogi.

Tomyski znalazł się na ulicy zanim odskoczyły drzwi wozu, a po mgnieniu zderzył się niemal z ogromną postacią Sercenki. Chwilę łopotali połami płaszczów na wichurze. Sercenko stęknął:

— Jezus Maria, a walizka?

— Mam ją w ręku.

— To jedziemy?

— Jedziemy. Dobry wieczór panu — Tomyski witał się z szoferem, który nie od razu spostrzegł wyciągniętą ku sobie dłoń.

Jechali na Dworzec Wschodni. Miasto było puste, jakby wymiótł. Nie tylko ulice, ale i ciemne zupełnie domy zdawały się wyludnione. Niebieskawe mżenie lamp samochodu wyciągało z mroku architekturę stolicy, podobną niemym dekoracjom do tragedii przed podniesieniem kurtyny.

— Przed strasznym podniesieniem kurtyny — powiedział nagle Tomyski do swoich myśli.

— Co, proszę? — nie zrozumiał Sercenko.

— Ludzkość zapędzona do jamy — wyjaśnił, jak mu się zdawało, Tomyski.

— Chyba się nie spóźnimy, Jezus Maria — odrzekł na to Sercenko.

Na Pradze, już w pobliżu dworca, Tomyski zobaczył pierwszą ludzką istotę — leżącego na chodniku mężczyznę. Mimo że i szofer, i Sercenko zdawali się patrzeć prosto przed siebie, wszyscy trzej odezwali się jednocześnie:

— Trup.

I wszyscy trzej gwałtownie się poruszyli.

Na spalonym dworcu, w niechlujnie utrzymanej tymczasowej poczekalni, był tłok. Źle ubrani i objuczeni tobołami podróżni stali, roili się albo siedzieli na swych jukach i na zabłoconej podłodze. Żadnych ławek nie było. Poczekalnia dla tubylców.

Ku zdziwieniu Tomyskiego Sercenko wyładował z tylnej skrytki auta ogromne paki, wiózł bowiem, jak się okazało, talerze i szklanki do Kursu Spółdzielczego w Smrekowinie. Zdobyli wprawdzie tragarza, lecz Tomyski wiedział, jak się teraz wsiada i podróżuje. Patrzył więc nie bez powątpiewania to na ciężki a kruchy bagaż, to na tragarza, którym był, niby na złość, mizerny i zawiędły człowieczek.

Długo stali w duchocie złowonnej ciżby jak w beczce z kwaśną kapustą, a nudę oczekiwania urozmaicało gnuśne wycie syreny, która się rozległa, gdy wysiadali z wozu i odtąd wyła bez przerwy.

— Alarm, czy co? — zagabnął w końcu Tomyski.

— Proszę? Alarm? Nie wiem — schylił się ku Tomyskiemu ogromny Sercenko, najwyraźniej myślący o czym innym. Ale chcąc być uprzejmym, zwrócił się do kogoś z podróżnych: — Czy to alarm, proszę pana?

Ów nic nie odpowiedział. Natomiast mizerny tragarz po dłuższej chwili milczenia odezwał się zmęczonym głosem:

— Kto ich tam wie. Może alarm, a może nie alarm. Oni tak ciągle. My już tego zwyczajne.

W samej rzeczy publiczność nie zwracała na syrenę żadnej uwagi.

Tomyski zapalił papierosa i też przestał ją słyszeć. Przypomniał sobie o niej dopiero, kiedy nagle umilkła. Niebawem w poczekalni wszczął się ruch zwiastujący możność wyjścia na peron. Sercenko i Tomyski wygnietli się przez ciasne tłumne wyjście, jak przez gardło maszynki do mielenia mięsa. I zaraz uderzył na nich z hukiem wiatr szarpiąc rozwiane płaszcze i grożąc zerwaniem czapek. Borykający się z naporem tłumu i huraganu wątły tragarz doniósł ich rzeczy pod pociąg i oświadczył, że już tych pak nie wstawi, bo nie ma siły; dziś właśnie pierwszy raz wyszedł z domu po długiej ciężkiej chorobie. Ale że Sercenko był mocny, a Tomyski zwinny, dali jakoś wszystkiemu radę, umieścili nie tylko bagaż, lecz i samych siebie w przedziale szczelnie upchanym, nie tak wszelako przeludnionym, jak się zapowiadało sądząc po ciżbie szturmującej wagony „dla Polaków". Tomyski nadto roztasowywał niezmordowanie bagaż współpasażerów, powtarzając ze słodyczą i w głosie, i w spojrzeniu:

— Zaraz, zaraz. Wszystkim będzie wygodnie. Na wszystko znajdzie się miejsce. Zaraz, zaraz. Tylko spokojnie.

Bagaże zresztą były lekkie, wędrowano głównie po szmugiel.

Kiedy w przedziale trochę się uspokoiło, Sercenko natychmiast zasnął wtuliwszy głowę w poły zawieszonego nad nim płaszcza. Tomyski wcisnął się w swoje ciasne miejsce i czekał. Stali bowiem jeszcze na dworcu około godziny. Potem w drodze stali znów pół godziny nie wiadomo gdzie, pośród bezludnej wietrznej nocy. Ale nazajutrz trafili jeszcze w Krakowie na mający za chwilę odejść pociąg zakopiański.

Pociąg był prawie pusty, gdyż do kraju fikcyjnego „Goralenvolku" dojazd Polakom z nizin był wzbroniony. Dla Kursów Spółdzielczych, traktowanych jako dozwolone „przeszkolenie zawodowe", władze okupacyjne robiły wyjątek ze względu na posiadany przez Centralę i dotąd nie odebrany Dom Wypoczynkowy w Smrekowinie. A raczej z powodu, że Treuhänder Centrali był typem niby z kiepskiej powieści. Łapownik, pijak i żarłok, żadnej innej cechy nie dało się w nim wykryć. Brał wszystko, począwszy od płyty gramofonowej albo termosu. Tego roku dyrektor szkolenia Adam Fabisz uzyskał przepustki oraz pozwolenie na odbycie Kursu za pięć butelek francuskiego wina, skradzionego z wojskowych transportów Trzeciej Rzeszy. Mówił o tym: „Leczymy go z hitlerowskiej lojalności szczepionką z własnej krwi". Zapowiedzią, że Dom w Smrekowinie będzie skonfiskowany „za dwa miesiące" Fabisz nie przejmował się i planował już program Kursów letnich.

Wagon, którym Tomyski i Sercenko jechali, był rozkołatany i zimny. Tomyski drzemał po nieprzespanej, Sercenko — po przespanej nocy. Tomyski zresztą budził się co chwila i zerkał ku oknu, rozciekawiony, czy ciepło i przedwiosenna odwilż nie dotarły jeszcze do gór. Zachwycał się czarownym jak sen szczęśliwego człowieka krajobrazem Zebrzydowskiej Kalwarii, podziwiał rosochatą wspaniałość nagiego starodrzewu liściastych lasów i błękit wzgórz, pokreślonych arabeską gałązek i konarów. Niekiedy wyrzucał sobie brak powagi, powinien by więcej myśleć o czekającym go cyklu wykładów — na wieczornych świetlicach Kursu miała się wszak toczyć batalia o przyszłe tzw. oblicze spółdzielczości. Ale myśli o tym wciąż uciekały, a natomiast nie mógł powściągnąć ciekawości, że gdzieniegdzie od północy zasłane listowiem zbocza przeświecają plamami śniegu. Tam, w Warszawie pragnął już wiosny, ale w górach „postanowił sobie" koniecznie zobaczyć zimę.

— Tu już widać troszeczkę śniegu — oznajmił koło Makowa drzemiącemu towarzyszowi podróży.

— W Smrekowinie śnieg będzie, że Jezus Maria — zapewnił budząc się Sercenko, który był znawcą tych stron.

— Stamtąd podobno jest najpiękniejszy widok na Tatry — informował się chciwie Tomyski.

— A jest, jest. Pokażę panu wszystkie szczyty. Pan zobaczy, jak tam jest ładnie. I tam na pewno śnieg leży jeszcze na metr.

Zobaczyli śnieg nawet już wcześniej. Niebawem wzgórza zapstrzyły się srokato, a wnet i całkiem pobielały. Rumiane blaski popołudnia znikły ustępując miejsca niebu zasępionemu, a koło Nowego Targu padał już obfity, ukośnie wiatrem gnany śnieg.

Na małą górską stację przybyli o zmroku, spowici w niewątpliwą już zadymkę. Z pociągu do budynku stacyjnego brnęli po kostki w śniegu, młodociany tragarz ciągnął na sporych saneczkach bagaż Sercenki. Był jędrny przymrozek, zamieć kłuła w twarz drobnymi igiełeczkami.

W poczekalni Sercenko zetknął się od razu ze znajomym, wysłanym po nich gazdą.

— A to śnieg — zauważył po przywitaniu — Burki są?

— Jakoz by nie były — odparł gazda z akcentem na „nie". — Someście ino dwaj? Nikogo okrom was nie ma? — pytał sadowiąc ich i otulając burkami.

— Someśmy ino dwaj, nikogo okrom nas nie ma — odpowiedział tymi samymi słowy i rażnym tonem, całkiem wreszcie rozbudzony Sercenko.

— Aleście spali w drodze, aż wam zazdrościłem — śmiał się Tomyski, przechodząc bezwiednie na powszechną śród spółdzielców, a jemu samemu tak pamiętną z młodości formę „wy".

— Ja ciągle jeżdżę i tak się jakoś przyzwyczaiłem spać na siedząco. Ale proszę. Ma pan śnieg. Nie mówiłem? Co za śnieg, Jezus Maria.

Droga szła wciąż pod górę, gazda od czasu do czasu zeskakiwał i szedł po boku sań. Za każdym razem rozpoczynał wtedy gawędę.

— „Wieciez, co z wojną? — pytał. — Jakoz tam we Wársawie? Takoz niedobrze, jako i tu?

Jakoz ma być? Tak samo zámęcyć chcą, jako i was — odparł Sercenko tą samą mowa i tak samo akcentując słowa. — Ino ze ciepło na dólinak — dodał. — Ná wierchak mróz, a we Wársawie halny. — roześmiał się.

— I u nas wiał. Wcora takoz była ódwilga — oznajmił góral. — Wcora jáchali mu ku stacji ná wozak.

Po niejakim czasie gazda przestał schodzić z kozła, sanie pomknęły szybciej po równiejszym, a nawet gdzieniegdzie lekko spadzistym gruncie. Wiatr ustał. W ciszy spotęgowanej szeptem zamieci dał się słyszeć drugi uporczywy i niedaleki dzwoneczek. Nie odwracając się góral zapytał:

— Jadą te Niemcy zá nami?

— To Niemcy? — zdziwili się razem obaj podróżni. Jednocześnie drugie sanki podjechały tak blisko, że gdy znowu zwolnili, Tomyski usłyszał tuż koło kaptura burki głośny oddech konia, a po chwili uczuł na ramieniu miękkie dotknięcie żuchwy końskiej. Zmęczone zwierzę jadło śnieg z jego burki. Zapadło milczenie cokolwiek wyczekujące i napięte. Raz po raz mijali olbrzymie świerki, ich skrzydlate gałęzie zgięte były ku ziemi pod kożuchami śniegu.

Nic o tym więcej nie mówiąc, obaj podróżni bacznie słuchali dzwoneczka z tyłu i głuchego po niezadętych jeszcze miejscach szorowania jadących wciąż za nimi sanek.

Nagle dzwoneczek zaczął się jakby oddalać, a wreszcie dał się słyszeć z innej niż dotąd strony.

— Skręcili — mruknął obejrzawszy się z trudem Sercenko.

Nie oglądając się nawet, góral odezwał się z kozła:

— Záwyrtli ku Júrgowu.

Zaczęto natychmiast rozmawiać. Tomyski rzekł wesoło do Sercenki:

— Wie pan, strasznie lubię tę właściwość gwary góralskiej. Ten odmienny akcent nie na przedostatniej sylabie, tylko na trzeciej od końca. Czy jakoś tak... Nadaje to szczególny wdzięk ich przepysznej polszczyźnie. Chociaż to, zdaje się, czeskie... Ale idzie chyba z prawieka.

— Co, proszę? — zaniepokoił się Sercenko. — Że co? Że mają inny akcent? Nie zauważyłem.

— Jak to, przecież pan sam tak mówi, jak pan z gazdą rozmawia — zaśmiał się Józef Tomyski.

— Tak? Nie. Co, proszę? — zdziwił się Sercenko, nie całkiem rozumiejąc o co idzie.

— Powiadam, że pan świetnie mówi gwarą podhalańską, panie Józefie — wytłumaczył Tomyski Sercence, który miał także na imię Józef.

— No, trudno, proszę pana. Jak się tu bywa co roku przez tyle lat... — usprawiedliwiał się zbity z tropu Sercenko.

Sanki ciągnęły teraz mocno pod górę. Gazda ponownie z nich zeszedł, a usłyszawszy gawędę podróżnych, orzekł:

— Mowa nasa je nienaucna, ba piekna. Juz my som bliziućko — dodał zadarłszy nieco głowę. — Tamto światło, hań wysoko między smrékami, to je nase.

W niespełna pół godziny potem Sercenko i Tomyski wchodzili w szerokie podwoje Domu Centrali.

Oszołomieni śnieżycą stali bezwładnie w gwarnej sieni oświetlonej kilku jaskrawymi karbidówkami, otoczeni znajomymi i nieznajomymi twarzami, pośród których śmiało się do nich pulchne jowialne oblicze dyrektora Fabisza, łyskające szkłami podwójnych okularów.

— Jak się macie, panowie Józefowie! Ale z was dopiero dwa słupy śniegu! Rozdziewajcie się i chodźcie na kolację! Prędko! Prędko! — wołał nagląco Fabisz. — Znacie mój system! Ani minuty spóźnienia. Czekamy was od godziny!

— Ba, kiedy te pociągi... W Makowie staliśmy ze trzy kwadranse... — wyjaśniali zrzucając burki przy pomocy czyichś wyciągających się rąk.

— Sercenko! — przypomniał sobie Fabisz. — A szklanki są? Talerze są?

— O ile się nie potłukły, to są.

— Jakie szklanki?! — wykrzyknął znad schodów zirytowany głos kobiecy. — Szklanki przyszły już wczoraj z Krakowa!

Po schodach zbiegała chuda wiotka postać o bladej gniewnej twarzy, nad którą pałały ogromnym zwojem rude, też jakby zagniewane włosy. Rozdrażniony głos krzyczał dalej: — Do chrzanu z takim bałaganem! Jedli będziecie te szklanki, czy co? Jak się zezłoszczę...

— Oho, nasza woda już brzegi rwie! — Fabisz poprawił okulary i zwrócił się do Tomyskiego: — Pozwólcie, panie Józefie... Panno Zuziu... — Chciał ich sobie przedstawić i objaśnił Tomyskiego: — To nasza intendentka i szafarka, panna Zuzia Wodecka...

Ale panna Wodecka minęła ich i zaperzona poszła krzyczeć, żeby nie wnoszono pak ze szkliwem na górę, gdyż ona ich dzisiaj nie będzie inwentaryzowała. W głębi domu zadzwonił przenikliwie telefon. Znów zatętniło po schodach. Inny niewieści głos wołał ze wszystkich sił:

— Kielce meldują, że wysłały już talerze i szklanki! Gdzie dyrektor? Kielce meldują, że wysłały...! Kielce przy telefonie!

— Kielce? Dobrze! Kielce? Niech pani trzyma Kielce, ja mam do nich interes — i Fabisz poniósł żwawo swą korpulentną postać na górę.

Duże, dziecięco-szafirowe oczy Sercenki zaczęły się powiększać jak u kota z bajki Andersena do rozmiarów przywiezionych szklanek i talerzyków.

— Opera, jak Boga kocham! Dyrektorze, czy wyście nie zamówili czasem szklanek we wszystkich oddziałach Centrali? Jezus ty Maria!

Tomyski zdejmował płaszcz, ktoś wskazywał mu jakiś pokój, ktoś inny nawoływał:

— Kolacja w pokoju pana Sercenki! Chodźcie, panowie, chodźcie! Proszę, proszę! Tędy!

Ledwie, umywszy się trochę, zdołali przełknąć jajecznicę z kartoflami, przyszedł od telefonu Fabisz.

— Co, jeszczeście herbaty nie wypili? Tempo! Tempo! — naglił. — Świetlica już się zaczęła! Panie Tomyski, wiem że pan zmęczony, ale musi pan iść na naszą pierwszą świetlicę. To coś dla powieściopisarza.

— Nie jestem ani trochę zmęczony. Walmy na tę świetlicę.

— Tylko przepraszam jego znakomitość, ale bez papierosa. U nas pali się tylko na przerwach papierosianych. Pan mnie zna. System. Dyscyplina. Tempo.

— Taki z pana szatan? No, dobrze, już gaszę. Chodźmy.

— A gdzie Sercenko?

— Zgubiła się kruszynka. Tyle szkieł nosić, dyrektorze... — szafirowe oczy i wielbłądzia twarz olbrzymiego Sercenki wyrażały dobroduszne zgorszenie.

„Świetlica" widać jeszcze nie całkiem się zaczęła, bo przy wejściu tłoczyło się sporo młodzieży i starszych osób. Błyski ciekawych oczu zerkały ku Tomyskiemu, który zatrzymał się, by przeczekać zator na schodach, i wtedy usłyszał za sobą przyciszoną rozmowę:

— W Warszawie? Obie wzięte?

— Wszystkie trzy. Matka, siostra i narzeczona. Wczoraj w nocy. Staśkowi dali znać już na dworcu, jak tu jechał.

— Alek wie?

— Nie jeszcze. Nie wiemy, jak mu powiedzieć. Będzie musiał wiać.

— Biedak, pajacuje przed chórem i nic nie wie.

— Panie Józefie, za mną, za mną — Fabisz przywoływał Tomyskiego zagarniającym gestem ręki.

Drzwi się otwarły. Chór zahuczał właśnie męskimi i zadzwonił żeńskimi głosami:

Hej, idem w las! Piórko mi się!
Piórko mi się!
Piórko mi się migoce!
Hej, idem w las! Ziemia dudni!
Ziemia dudni!
Ziemia dudni — kie kroczę!

Chórem dyrygował młody chłopiec niewysokiego wzrostu o bardzo jasnych w tył zaczesanych włosach. Dyrygował całym sobą, jak skoczny, ruchliwy pajacyk pełen wdzięku. Chwilami ukazywał się jego roześmiany profil o lekko zadartym nosie.

— Aha — pomyślał Tomyski — to ten Alek, co jeszcze nic nie wie.

Maria Dąbrowska

Jubileusz Marii Dąbrowskiej

(Dokończenie ze str. 1-ej)

gactwo serca i wierność ludziom powoływanym przez pisarza do życia, po dobre słyszenie wewnętrznego życia człowieka i ową piękną atmosferę rzetelnej miłości dla ludzkich losów?

Lecz twórczość Marii Dąbrowskiej otwiera dla naszej współczesnej literatury jeszcze i inne źródło ożywcze. Myślę mianowicie o wielkiej powieściowej epice, której jednym ze szczytowych osiągnięć w historii naszej literatury są „Noce i dnie". Pozostanie też na zawsze niezapomnianą zasługą Dąbrowskiej, że w latach, gdy znaczna ilość naszych prozaików opuszczała pozycje realizmu krytycznego — ona podjęła swój wielki epicki cykl, utrwalając w nim szeroki, obyczajowy obraz rozkładu i upadku warstwy ziemiańskiej na przełomie stuleci. Gdy jednak w związku z dzisiejszą uroczystością nie mogło nie paść słowo: wielka epika — trudno równocześnie nie stwierdzić, że jeśli nasza obecna rzeczywitość, a szerzej rzecz stawiając: cała połowa naszego wieku istotnie toczy się nurtem rozległej epiki, to nasza literatura cierpi dotkliwie na niedostatek epickiego rozmachu i wciąż jeszcze, z nielicznymi zaledwie wyjątkami, obraca się na krótkich odcinkach czasu, jakby w obawie, że nie starczy jej oddechu i sił na dłuższą drogę poprzez lata pełne różnorodnych i sprzecznych wydarzeń.

Nie trzeba chyba szczegółowiej się rozwodzić nad wszechstronnym poszerzeniem treści i artyzmu, jakie towarzyszy prozie z chwilą, gdy ludzkie losy, przeobrażenia charakterów oraz indywidualne konflikty zostają wyrwane z jednorazowych, nieraz szucznie wymyślonych sytuacji dramatycznych i powierzone wielkiej epickiej fali historycznej. Dla wszystkich nas jest też jasnym, że spośród współczesnych polskich pisarzy Maria Dąbrowska jest tym twórcą, który najambitniej podjął i w najpełniejszy sposób zrealizował najtrudniejszą dla prozaika, a jednocześnie najbardziej dla niego porywającą rzecz wielkiej epiki.

Myślę, więcej: jestem pewien, że owej śmiałej ambicji twórczej, kierującej pióro pisarza ku zamierzeniom najtrudniejszym, możemy i powinniśmy się uczyć u naszej wielkiej epiczki, Marii Dąbrowskiej. I uczyć się tego powinniśmy właśnie dzisiaj, gdy i rzeczywistość domaga się utrwalenia jej w monumentalny kształt epiki, i rzesze czytelników spragnione są dzieł na miarę naszych czasów.

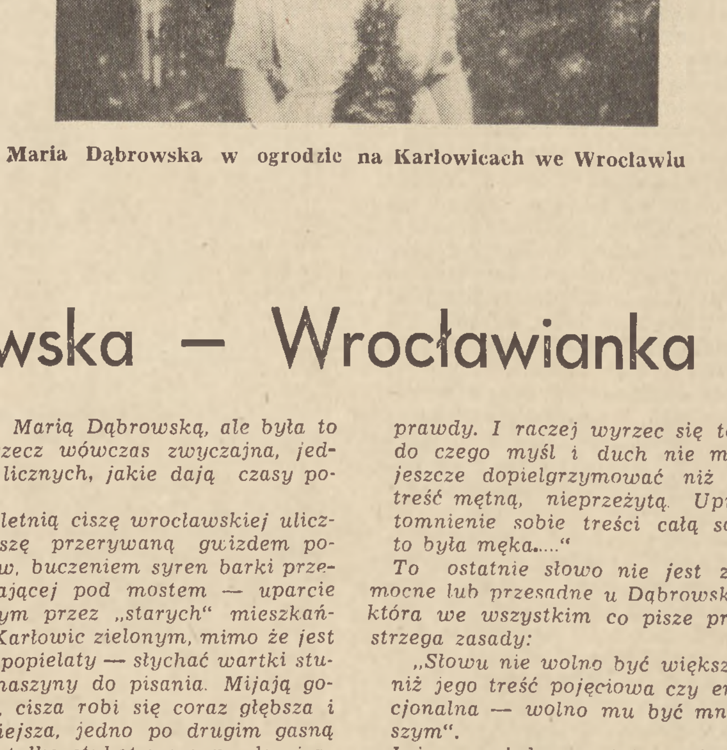
A artyzm Dąbrowskiej? Mieliśmy i mamy w naszej literaturze wielu świetnych stylistów, sądzę jednak, że pod piórem Marii Dąbrowskiej proza polska wzniosła się na najwyższe szczyty doskonałości. Jasność i prostota tej prozy, nieomylność budowy zdań, porywająca umiejętność znajdowania jedynie właściwych słów dla wyrażenia całego wszechstronnego bogactwa życia, kadencja zdań zawsze wynikająca z ich wewnętrznej treści i wreszcie z tych wszystkich elementów powołane do trwałego istnienia piękno, które wzrusza, zachwyca i uczy najgłębszego szacunku i miłości dla polskiej mowy — oto wielki dar, jaki Maria Dąbrowska niełatwą i wytrwałą pracą swego życia ofiarowała nam wszystkim żyjącym, a również i tym, którzy w przyszłości sięgać będą do prozy „Nocy i dni", jako do najpiękniejszej skarbnicy polskiego języka.

I z tego zatem wciąż młodego źródła twórczości Marii Dąbrowskiej możemy czerpać bogatą naukę i doświadczenia, pamiętając jednak, że jeśli nasza znakomita koleżanka doszła do tak wielkich osiągnięć, to wspierając się nie tylko na swym talencie, lecz również i może nawet przede wszystkim na nieugiętej i bezgranicznie ofiarnej odpowiedzialności za każde napisane słowo.

Szanowna i droga Pani Mario! Znamy Pani wysokie poczucie odpowiedzialności pisarskiej, znamy prawość Pani charakteru i znamy Pani gorący patriotyzm. Jest Pani dla nas nie tylko wielkim pisarzem, lecz również człowiekiem szlachetnego formatu. W dziełach stworzonych przez Panią w minionym czterdziestoleciu widzimy wiele wartości, które zwycięsko i w całej swojej mądrej urodzie przechodzą z czasu, który był, do czasu, który nam jest teraz dany do dalszego kształtowania. Mamy wreszcie — my polscy pisarze — pewność, że w Pani dzisiejszym jubileuszu młodość umysłu i serca promienieją blaskiem szczególnie cennym.

Przed kilkoma tygodniami, gdy naród polski zjednoczył się we Froncie Narodowym, słyszeliśmy Pani głos i jego wymowa polityczna i moralna wzruszyła wszystkich polskich patriotów. Wiemy, że jest Pani razem z nami w wielkim narodowym obozie postępu i pokoju. Czekamy na Pani nowe dzieła. Czekamy na nie z tym samym szacunkiem, z jakim spoglądamy na dzieła już przez Panią stworzone, mamy bowiem pewność, że każde Pani nowe osiągnięcie stanie się osiągnięciem, które służyć będzie nam wszystkim, całemu narodowi.

Jerzy Andrzejewski



Maria Dąbrowska w ogrodzie na Karłowicach we Wrocławiu

ANNA KOWALSKA

Maria Dąbrowska — Wrocławianka

Letnią porą, na przedmieściu Wrocławia, w Karłowicach, przechodnie widzą nieraz, przez kratę ogrodu, drobną postać kobiety pochyloną nad grzędą, albo gracującą ścieżki. Zdarza się, że w zapale porządkowania siwiejąca pani wychodzi na uliczkę, uzbrojona w miotłę o długich, giętkich blaszkach (domownicy nazywają tę miotłę dla jej kształtu wachlarzem Kleopatry) i z zapałem bierze się do zamiatania chodnika przed domem. Mieszkańcy z Lindego mówią: Dąbrowska zamiata ulicę; a czasem nawet sami biorą się u siebie do większych porządków.

Maria Dąbrowska nie jest gościem we Wrocławiu, nie dlatego jedynie, że wiele czasu tu w ciągu roku przebywa i pracuje — nie tylko w ogrodzie! — ale interesuje się życiem miasta, ludźmi, ich pracą i losami. Posiada też tu oddanych sobie przyjaciół.

Pamiętają oni, jak to w lutym 1946 roku, w sali hotelu Savoy, odbył się pierwszy wieczór literacki. Maria Dąbrowska odczytała swój dramat „Bogumił i Stanisław". Wiele osób, które nawzajem o sobie od lat nie wiedziało, spotkało się tego niedzielnego popołudnia. Piękne polskie słowo zbudziło ludzi z trosk remontów i zagospodarowywania się. Można powiedzieć, że ten wieczór autorski był pierwszym wydarzeniem literackim Wrocławia. W latach następnych niejeden raz Wrocławianie mieli możność słyszenia i dyskutowania z Marią Dąbrowską, ale była to już rzecz wówczas zwyczajna, jedna z licznych, jakie dają czasy pokoju.

W letnią ciszę wrocławskiej uliczki, ciszę przerywaną gwizdem pociągów, buczeniem syren barki przejeżdżającej pod mostem — uparcie zwanym przez „starych" mieszkańców Karłowic zielonym, mimo że jest teraz popielaty — słychać wartki stukot maszyny do pisania. Mijają godziny, cisza robi się coraz głębsza i czarniejsza, jedno po drugim gasną okna, tylko stukot maszyny do pisania staje się wyraźniejszy. Maria Dąbrowska pracuje.

Czytelnik biorący po dniu pracy jej książkę dla odpoczynku rzadko chyba zastanawia się, pochłonięty losami bohaterów, „ile trudu i cierpliwej męczarni" kosztowały pisarkę każda stronica, ba, każde zdanie.

Nie tylko dzieło literackie, lecz również artykuł lub wypowiedź są rezultatem długiego procesu myśli i pracy. Aż bolesnym bywa dla ludzi bliskich pisarce patrzeć na jej zmagania. Lecz od niedyskrecji wybawi nas sama autorka „Nocy i dni", która pisała przed laty:

„Zaś mając przed sobą do przygotowania odczyt albo artykuł... brała się do rzeczy, jakby każdy z tych drobiazgów miał być pierwszą i ostatnią pracą jej życia. Treść zamierzonej wypowiedzi należało przemyśleć rzetelnie od wszystkich stron, a odczuć z siłą, pozwalającą uczynić wybór między różnymi wyglądami tej samej prawdy. I raczej wyrzec się tego, do czego myśl i duch nie mogą jeszcze dopielgrzymować niż dać treść mętną, nieprzeżytą. Uprzytomnienie sobie treści całą sobą, to była męka....."

To ostatnie słowo nie jest zbyt mocne lub przesadne u Dąbrowskiej, która we wszystkim co pisze przestrzega zasady:

„Słowu nie wolno być większym niż jego treść pojęciowa czy emocjonalna — wolno mu być mniejszym".

I jeszcze jeden cytat, najlepiej charakteryzujący pisarkę, która stawia sobie „fanatyczne wymagania" w pracy.

„Zaciekała się i pracowała niemal ponad swoją możność; nie zdając sobie sprawy, jak to bywa, że ludzie woli — a tę stronę jej natury potęgował, rozwijał czas, w którym żyła — nie zdają sobie sprawy z wysiłku, co ich pożera".

Czytałam świetne krytyki dzieł Marii Dąbrowskiej, nie pamiętam jednak, aby w jakiejś podniesiono, jak wiele uwagi pisarka poświęca w swoich książkach pracy.

Może nie jest to ważne, w jakim mieście, czy wsi ktoś pracuje, i nie zamierzamy spierać się z Warszawą, ale wyobraźnia czytelnika lubi wiązać miejsca, gdzie pisarz przebywał, z jego osobą, przeżyciami i pracą. Stąd też i nasza chęć, by wciągnąć imię Marii Dąbrowskiej do kroniki miasta Wrocławia.

Anna Kowalska

EWA KORZENIEWSKA

Ze studiów nad ideowym podłożem „Nocy i dni“*)

„Noce i dnie“ powstają w latach 1929-33. Lata te były okresem wyraźnego zaostrzenia walki klasowej, gdyż z jednej strony długotrwały kryzys potęgował nędzę mas, wzmagał bezrobocie, a tym samym przygotowywał grunt do podjęcia rewolucyjnych sposobów walki mas narodu, z drugiej strony wzmagał się ucisk rządów kapitalistycznych, które nie widziały innych środków opanowania groźnej sytuacji niż potężniejący terror i przejście do ustroju faszystowskiego.

Lata te były okresem przygotowywania się decydujących wydarzeń historycznych. Rządy krajów kapitalistycznych przechodzą do jawnych dyktatur, wzrastają ruchy rewolucyjne, manifestując swą siłę wielkimi strajkami robotniczymi i chłopskimi. Poczyna pod kierownictwem partii komunistycznych tworzyć się front ludowy, obejmując poza masami proletariatu miast i wsi także część drobnomieszczaństwa i inteligencji.

W latach 1929-1933, zanim KPP przystąpiła do tworzenia frontu ludowego, inteligencja w swej większości gubiła się w skomplikowanej sytuacji społeczno - politycznej i służyła interesom burżuazji. Usiłując w osamotnieniu budować swój stosunek do spraw ustrojowych i społeczno - politycznych, często błąkała się między uczciwymi odruchami a nieprzemyślanym lękiem przed rewolucją. Dopiero hasła frontu ludowego zbliżyły najuczciwszą część inteligencji do mas narodu i pomogły jej przejść na stronę walki o postęp i sprawiedliwość społeczną. Maria Dąbrowska pisze „Noce i dnie“ przed powstaniem antyfaszystowskiego frontu ludowego, właśnie w okresie, kiedy, jak mówi Stalin: „Masy ludowe jeszcze nie dojrzały do tego, aby ruszyć do szturmu na kapitalizm“ i kiedy: „Klasy pracujące krajów kapitalistycznych starannie unicestwiają lub pozbawiają wszelkiego znaczenia ostatnie resztki parlamentaryzmu i demokracji burżuazyjnej“.[1]).

Ta sytuacja utrudniała nawet najuczciwszym pisarzom zdecydowane zerwanie z ustrojem burżuazyjnym. Tym bardziej, że sanacja wykorzystywała wszystkie środki, począwszy od nagród i zaszczytów, a kończąc na terrorze i więzieniu, aby zmusić artystów do służenia obronie interesów sfer rządzących. Sytuacja literatury polskiej w latach trzydziestych wyraźnie odbija ostrość walki klasowej. Z jednej strony pod naciskiem zaostrzającej się nędzy mas ludowych i ich rosnącego uświadomienia rewolucyjnego kształtuje się literatura związana z ideologią proletariatu. Tworzy już Broniewski, rozpoczynają działalność pisarską Kruczkowski i Wasilewska. Powstają czasopisma, związane z KPP. Z drugiej znów strony do władzy w zakresie literatury, do honorów i zaszczytów, dochodzą pisarze, którzy już całkiem jawnie podejmują walkę z ruchem rewolucyjnym i służą faszyzmowi. Lata te to okres wzrastających, dyktatorskich wpływów Kadena - Bandrowskiego, to czasy samowładnego panowania S. Michalskiego — dyrektora Funduszu Kultury Narodowej, hojnie dzielącego stypendia i zasiłki pomiędzy młodych sanatorów i endeków.

W nurcie literatury „państwowotwórczej“ zaznacza się coraz wyraźniejsze i dalsze odchodzenie od realizmu. Degeneracja tego nurtu wyraża się całkowitym przyjęciem naturalistycznej koncepcji życia społecznego i ekspresjonistycznymi formami wyrazu. Nie dająca się już ukryć ani zamaskować walka klasowa jest przedstawiona jako biologiczna walka o byt. Zdegradowany do poziomu zwierzęcia człowiek nie reprezentuje ani klasy, ani środowiska społecznego, stanowiąc jakiś kompleks instynktów i odruchów. Metoda ekspresjonizmu usiłuje maskować nie tylko konflikty społeczne, lecz także prawdziwe ludzkie uczucia i prawdziwy obraz człowieka. Jawnej apologii wodza, człowieka silnego, towarzyszy wyrosła z lęku pogarda dla społeczeństwa, dla mas narodu. Stąd obok, jakże fałszywej, otoczonej aureolą zakłamanego kultu postaci z jednej bryły — dyktatora — powstają ludzie-groteski, karykatury, półzwierzęta, zlepki kompleksów i odruchów.

„Noce i dnie“ powstają w tym samym okresie, kiedy Kaden-Bandrowski publikuje „Czarne skrzydła“ (1928—29), a L. Kruczkowski wydaje swą pierwszą powieść „Kordian i Cham“ (1932). Z jednej więc strony ukazuje się przyjmowany z gorącymi hołdami utwór sanacyjnego dyktatora w dziedzinie sztuki, z drugiej pojawia się prekursorska, antyburżuazyjna powieść pisarza związanego z ideologią proletariatu. W tym czasie już od roku 1925, w którym ukazało się „Przedwiośnie“, nurt realizmu krytycznego prawie zanika. Utwory realizmu krytycznego zaczną znów pojawiać się w okresie powstawania Frontu Ludowego, wówczas kiedy nacisk wrzenia rewolucyjnego i oczywista, potwierdzona przez bolesne fakty słuszność postulatów klasy robotniczej pomoże i pisarzom zobaczyć z nową ostrością prawdę życia w ustroju faszystowskim. „Noce i dnie“ powstają wtedy, kiedy pisarze niezwiązani z KPP sami jeszcze próbowali orientować się w groźnej sytuacji.

Maria Dąbrowska zawsze występowała w obronie swobód burżuazyjno - demokratycznych. Oczywiście program ten w latach 30-tych nie był programem rewolucyjnym, jednakże w okresie narastającego faszyzmu wyrażał zdecydowany protest przeciw tej formie ustroju i wspierał walkę proletariatu.

W jednym z artykułów pt. „Na ciężkiej drodze“ (Wiad. Lit. 1931, nr 4) M. Dąbrowska wystąpiła z oskarżeniem ówczesnego ustroju, przedstawiając te nadużycia rządu, które musiały zaniepokoić i oburzyć każdego uczciwego człowieka. Rozczarowanie Dąbrowskiej do rządów sanacyjnych było tym ostrzejsze, że należała ona do grupy demokracji, która łudziła się, że rok 1926 był rokiem przewrotu społecznego i wejścia na drogę reform demokratycznych. W swych oskarżeniach Dąbrowska zbliżała się do stanowiska reprezentowanego później przez antyfaszystowskie i demokratyczne koła frontu ludowego. „*Pojemność ludzka* — pisała Dąbrowska we wspomnianym artykule — *na dziejace się pokątnie zło, na ciemne kulisy życia zbiorowego jest ograniczona, a cierpliwa odporność, wystawiana zbyt często i zbyt długo na próbę, nakoniec się urywa w nieprzewidzanym miejscu, na nieoczekiwanym, z ubocznych tylko względów bardziej strasznym niż inne wydarzeniu. I gdy spodem szumnych frazesów mocarstwowych idą (pomijając powszechne w całym świecie pogarszanie się spraw gospodarczych) takie rzeczy, jak stosowanie z reguły tortur i znęcania się w urzędach śledczych, upadek niezawisłości sądów, nadużycia ekspedycyj karnych w Małopolsce i wreszcie Brześć; gdy obywatel w Polsce może być nie tylko pomału obierany ze swobód, ale może być nadto przez każdego uzbrojonego przedstawiciela władzy bezkarnie poniewierany; gdy t. zw. „opanowywanie terenu“ tj. skłanianie ludzi oraz instytucyj społecznych na stronę rządu, osiąga się w całym kraju środkami mocno niewybrednymi, a w rękach propagatorów odrodzenia moralnego wysoce nieodpowiedniemi, — nic dziwnego, że sumienie zaczyna się niepokoić*“. Uczucie rozczarowania do ówczesnego życia w Polsce i tęsknota do lepszych form ustrojowych towarzyszą Dąbrowskiej przez wszystkie lata powstawania „Nocy i dni“. Nie doprowadzą one autorki w okresie przedwojennym do pozycji rewolucyjnych: Dąbrowska poprzestanie w tamtych latach na proteście demokraty, który łudzi się, że powrót do swobód demokratycznych jest możliwy w ustroju kapitalistycznym. Mimo jednak ograniczoności tych pozycji autorka „Nocy i dni“ wspierała swą twórczością właśnie tendencje postępowe. Uczciwy protest przeciw faszyzmowi był już w tym okresie przejściem na stronę mas narodu walczących o sprawiedliwość społeczną.

Dąbrowska zdawała sobie jasno sprawę ze społecznej roli literatury, o tym świadczy jej apel do pisarzy w sprawie Brześcia. W artykule „Rozmowa z przyjaciółmi“ (Wiad. Lit. 1931 r., nr 3) mówiła: „*Ale nas pisarzy tam nie było. A odezwanie się literatury było tym więcej potrzebne i ważne, że ona jedna właśnie, jako widząca przenikliwym okiem głębię rzeczy, byłaby powołana do stwierdzenia niedostrzeżonego przez innych związku między Brześciem a całym łańcuchem innych ujemnych faktów naszego życia zbiorowego*“. Przyznając literaturze prawo i obowiązek walki o sprawiedliwość społeczną autorka nie chciała i nie mogła poddać swej sztuki klasie panującej. Żądając swobody dla artysty i poszanowania jego wolności twórczej walczyła z uciskiem faszyzmu i w tej dziedzinie. Zdawała sobie przecież jasno sprawę z tego, że „*Świat wyzyskiwaczy wszystkich czasów i wszelkiego autoramentu robił istotnie co mógł, by wszystkie dzieła także i duchowej kultury zaprząc w służbę złotego cielca, uczynić przedmiotem własnego tylko spożycia lub nawet środkiem do podtrzymania swej władzy i swoich przywilejów*. („Rozmyślania na czasie“, Wiad. Lit., 1935, nr 11).

Jednakże Dąbrowska była głęboko przekonana i miała pełną rację, gdy twierdziła, że prawdziwa sztuka, która ma na celu dobro człowieka, przerasta swą klasę i swój ustrój. „*Nie ulega również wątpliwości* — stwierdziła — *a obnażanie tej prawdy jest niespożytą zasługą socjalizmu — że żadne dzieło kultury nie może powstać w zupełnej niezależności od warunków społecznych i ekonomicznych, w jakich się pojawia. A jednak prawdą, również nie ulegającą wątpliwości, jest fakt, że od początku dziejów ludzkości, aż po dzień dzisiejszy przez wszystkie pełne grzechu i zbrodni cywilizacje szedł prąd ożywczy, znaczący ślad swój dziełami kultury, stwarzanymi bądź przez jednostki, bądź przez zespoły społeczne, a przerastającymi swój czas, swoją klasę, swój ustrój... Żadna z dotychczasowych dyscyplin nie znalazła odpowiedniego sformułowania dla tego pierwiastka. Być może, znajdą je właśnie ludzie i zespoły przyszłej kultury socjalistycznej...*“ (Rozmyślania na czasie, 1935, nr 11).

Mimo że autorka pisząc te słowa na pewno nie myślała o swej twórczości i nie próbowała w ten sposób bronić swej niezależności od zakusów krytyki burżuazyjnej, jednakże można je odnieść do „Nocy i dni“, i na tej drodze właśnie wykazać, że realizm i tendencje humanistyczne tetralogii Dąbrowskiej górują nad tymi elementami jej dzieła, które celowo podkreślała i wyolbrzymiała krytyka burżuazyjna.

KPP doceniała wartość walki o swobody burżuazyjno - demokratyczne w ramach ustroju burżuazyjnego „Komintern — mówi J. Brun — nigdy nie zaprzeczał walki o demokratyczne prawa i wolności ludu także w ramach burżuazyjnego ustroju. Owszem, uznawaliśmy i uznajemy dzisiaj, że najpełniejszą i najwyższą formą demokracji jest demokracja proletariacka, jaką widzimy w ZSRR... ale nie lekceważymy także tych praw, które daje ludowi nawet demokracja burżuazyjna. Nie zapominamy, że w warunkach demokracji burżuazyjnej lud ma zupełnie inną możność organizowania się do walki z wyzyskiem niż pod faszyzmem“.[2]).

Po przejściu sanacji do systemu półjawnej dyktatury, KPP uważała walkę o swobody demokratyczno-burżuazyjne za czynnik obiektywnie wspierający walkę proletariatu. Maria Dąbrowska, jedna z nielicznych wśród polskich pisarzy, protestowała przeciw faszyzmowi i broniła honoru i godności człowieka wcześniej niż rozpoczęła się szeroka akcja walki z faszyzmem. Żądając pełni swobód demokratycznych w ustroju burżuazyjnym, śmiało wypowiadając się w prasie przeciw faszystowskim formom terroru i pohańbienia człowieka, pisarka współdziałała w mobilizacji nastrojów mas ludowych, wskazywała inteligencji tę drogę, która prowadziła później w szeregi Frontu Ludowego. Chociaż ta droga nie doprowadziła Dąbrowskiej przed wojną do walki wspólnej z klasą robotniczą, to jednak jej antyfaszystowska i humanistyczna postawa zadecydowały o charakterze i wartości „Nocy i dni“, umożliwiła bowiem pisarce nawiązanie do tradycji realizmu.

Ewa Korzeniewska

*) Fragment większej pracy o „Nocach i dniach“ Marii Dąbrowskiej.

1) J. Stalin, Zagadnienia leninizmu. Warszawa, 1949, str. 400.

2) V Plenum KC KPP w dyskusji prasowej. W tomie „W walce o Polskę Ludową“, str. 72.

TADEUSZ MIKULSKI

W mieście Bogumiła Korna

1

W topografii „Nocy i dni“, którą może rozpozna kiedyś miłośnik historii Kalisza, pojawiło się dość zagadkowe — Raciborskie Przedmieście. To tutaj Arkuszowa próbuje osadzić Niechciców. Dajmy i my prowadzić się przez chwilę krzykliwej faktorce, gdy zachwala pani Barbarze nowo postawiony dom na przedmieściu: „Minęli most, zwany „rybny“, minęli Karolińską, przeszli przez most kamienny i zagłębili się w ciasne uliczki, gdzie aż dusiło od kwaśnej woni rozgrzanych na spiece brudów. Stamtąd wynurzyli się na szersze, bezładnie i luźno zabudowane Raciborskie Przedmieście i tu pani Barbara utraciła cierpliwość“ (Wieczne zmartwienie, rozdz. XX).

My jednak potrafimy być cierpliwsi. Z niemałym zainteresowaniem patrzymy na rozległy pejzaż miejskiej zabudowy, który malują ruchliwe gesty i płynna gadanina Arkuszowej. Bowiem Raciborskie Przedmieście w Kalińcu to w istocie, przysłonięte śląskim kryptonimem — Wrocławskie Przedmieście w Kaliszu. I chyba właśnie nazwa ulicy, zasłyszana w dzieciństwie Marii Dąbrowskiej, wskazała jej kierunek geograficzny z Kalisza do Wrocławia i przybliżyła wizję oddalonego miasta.

Zarys Wrocławia uwyraźniał się w miarę lat i zaludniał żywymi szczegółami. Do Warszawy jechało się wówczas z Kalisza rzemiennym dyszlem, końmi rozstawionymi po stacjach pocztowych. Ale od zachodu i południa, tuż za granicą zaboru niemieckiego, podchodziły pod Kalisz linie kolei żelaznej. Do Poznania i Wrocławia można było dojechać z tych stron z łatwością. Jak dziś! Maria Dąbrowska zachowała nawet w pamięci przekonanie swojego środowiska, że nie Warszawa, ale „Poznań i Wrocław były „w praktyce“ stolicami dla naszych okolic“.

Kaliszanie z „Raciborskiego Przedmieścia“ uwijają się gęsto po tych nowoczesnych drogach żelaznych. Zapewne nikt spośród nich nie wie, jak to przez Kalisz jeździli niegdyś do Wrocławia: Hugo Kołłątaj w r. 1808, odprowadzany do dyliżansu przez gen. Zajączka; uczony ekonomista Fryderyk Skarbek w r. 1822; lekkomyślny Odyniec, zgodziwszy małą furkę krakowską w r. 1829; później jeszcze, w r. 1831, strapiona Klementyna Hofmanowa...

Ostatecznie bowiem nie wspomnienia erudycji literackiej, tylko samo życie łączy wtedy Kalisz i Wrocław. Tymi właśnie kolejami żelaznymi (furka Odyńca znalazła się już dawno w wozowni historycznej!) zjeżdżały do domu rodziców Marii Dąbrowskiej „bony“ Niemki, które miały uczyć niemieckiego języka młodzież z „Raciborskiego Przedmieścia“. Chcecie wiedzieć, jak się nazywały te nauczycielki domowe z Opola i Wrocławia? Helena Gomolka, Maria Nawrot, Maria Żurkiewicz. Mówiły po polsku tą zepsutą, twardą polszczyzną, którą i my jeszcze zastaliśmy w zaułkach wrocławskich w roku 1945.

A Kaliszanie do Wrocławia trafiają dla różnych powodów. Ciągną ich do śląskiego miasta co sławniejsi lekarze, trzeba tam jechać „po bardziej rarytne zakupy“ (w tym słowie samej Marii Dąbrowskiej zachowała się woń upłynnionego czasu), do zdrojów Dolnego Śląska, nawet tak, zwyczajnie, na koncert, na przedstawienie operowe.

Wśród nich znalazła się, za swojej młodości, we Wrocławiu także Maria Dąbrowska. Kiedy? — pytamy, przyzwyczajeni do ściślejszej chronologizacji wydarzeń literackich. Autorka „Nocy i dni“ nie podała daty, może jej dokładnie nie pamięta. Wie tylko, że wzięła ze sobą z Kalisza „Wierną rzekę“ Żeromskiego „świeżo właśnie wydaną“. Skoro tak, odbyła się ta podróż w r. 1912 lub 1913, wtedy właśnie ukazały się pierwsze nakłady książkowe „Wiernej rzeki“, przemycone sprawnie z Krakowa do Kalisza.

Maria Dąbrowska była we Wrocławiu krótko, „przez parę dni“. Tyle też czasu wymagała błaha operacja, której poddał się w klinice uniwersyteckiej brat młodej pisarki, 14-letni Bogumił. Dąbrowska nie pamięta adresu i nazwy hotelu, w którym mieszkała. Pod tym więc względem trzeba powściągnąć nałóg lokalizacji, rygorystyczny zwyczaj „Spotkań wrocławskich“. Tylko z daleka, zamknąwszy plan miasta, możemy śledzić kroki Marii Dąbrowskiej. Z chłopcem, czekającym na wycięcie migdałów, napotkała ogród zoologiczny, wypełniony po brzegi fauną zamorską, cudzoziemską, w bliskim sąsiedztwie klinik uniwersyteckich. Dorzućmy wspomnienie intensywnej lektury: we Wrocławiu, w nienazwanym hotelu, przeczytała „Wierną rzekę“. W którym wydaniu? Czy w „mutacji“ r. 1912, przeznaczonej dla zaboru rosyjskiego — czy w tekście pełnym, bez okaleczeń cenzuralnych? Nie podpatrzył już tego żaden bibliograf wrocławski.

Na ul Świdnickiej (dziś Stalingradzkiej), w pobliżu Rynku, musiała zauważyć Dąbrowska wielki i zasłużony dom wydawniczy Wilhelma Bogumiła Korna, czekający do dziś polskiej monografii.

2

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego
księgarzom!
Ja nie znam Korna.... mówią, że
luminarz...

Juliusz Słowacki kilka płynnych strof „Podróży do ziemi św. z Neapolu“ poświęcił Kornowi, przetkawszy je ironią — i nadzieją, że przecież nakłoni potentata wrocławskiego księgarstwa do podjęcia romantycznego wydawnictwa. Rachuba okazała się zwodnicza, Słowacki nie celował, jak wiadomo, w kalkulacji księgarskiej.

Ale szyderczy fragment „Podróży do ziemi św.“ włączył się mimo woli do wrocławskiej tradycji literackiej. Maria Dąbrowska zapamiętała te dowcipne strofy o Kornie — i o Wrocławiu. Co więcej, wokół pieśni V „Podróży do ziemi św.“ Słowackiego zaczęła powstawać w tych czy późniejszych latach jakaś wiedza historyczna o działalności oficyny wrocławskiej. „Wiedziałam coś niecoś o tej starej firmie“ — napisze autorka „Nocy i dni“, porządkując swoje wspomnienia wrocławskie. Odtąd sentyment dla miasta nad Odrą, sięgający czasów „Raciborskiego Przedmieścia“, zyskał nowe i wcale silne uzasadnienie.

Kiedy ukazały się drukiem „Noce i dnie“, kilka domów wydawniczych niemieckich jęło ubiegać się o prawo przekładu wielkiego dzieła. Pisarka odmawiała. W tej postawie niechętnej zachwiał ją dopiero, gdzieś w r. 1936, list, który nadszedł z Wrocławia. Wilhelm Bogumił Korn otrzymał wówczas autoryzację przekładu niemieckiego „Nocy i dni“. Bo czyż można było odmówić Kornowi?

Motyw tej decyzji wskazała sama autorka. „Ale kiedy zwrócił się do mnie Wrocław — uległam pokusie“ Dlaczego? „Z dziwnych powodów“. Zachęcała niewątpliwie dawna współpraca z literaturą polską, sięgająca jeszcze w. XVIII. Na szali stosunków wydawniczych, które od stuleci łączyły Wrocław z Polską, Maria Dąbrowska położyła bez wahania swoją książkę. I ta świadomość, że nowy przekład zapewnia sobie uczestnictwo w starej tradycji literackiej, była niewątpliwie rozstrzygająca. Ale jeszcze to jedno, nie najmniej ważne: „...imię Bogumił „prześladuje“ mnie całe życie, więc pomyślałam „nomen omen“... — ciągnie wesoło autorka „Bogumiła i Barbary“ i dramatu z w. XI „Stanisław i Bogumił“. W ten sposób oficyna wrocławska Wilhelma Bogumiła Korna trafiła do genealogii, wysnutej w Serbinowie.

Tuż przed wojną, w r. 1938 ukazał się tom 1 przekładu „Nächte und Tage“, obejmujący dwa pierwsze człony dzieła: „Bogumił i Barbara“ i „Wieczne zmartwienie“. Na karcie tytułowej można czytać metryczkę bibliograficzną, która zadecydowała o wyjściu książki z druku: „Wilhl. Gottl. Korn Verlag“.

Dopiero na odwrocie karty tytułowej podpisał się skromnie tłumacz — Heinrich Koitz. Uczeń slawistyki wrocławskiej zapewniał Marię Dąbrowską, że jest Polakiem z pochodzenia, że dziadkowie jego mieli jakiś udział w powstaniu wielkopolskim r. 1848. Samo nazwisko „Heinrich Koitz“, poddane przejrzystej kosmetyce pruskiej — coś jak Bartek *Szloik* Sienkiewicza — dawało zresztą świadectwo prawdzie.

Kiedy wybuchła wojna 1939 r., Heinrich Koitz przerwał pracę nad niedokończonym przekładem „Nocy i dni“ i poszedł walczyć o wielkie Niemcy. Zginął w czasie wojny, nie zwyciężywszy historii nawet w tym stopniu, co Bartek Zwycięzca. W rozmowie warszawskiej z Marią Dąbrowską, jeszcze przed wrześniem, szydził okrutnie z hitlerowskiego pozdrowienia. „So hoch ist Dreck“ — mówił wyciągnąwszy rękę.

Archiwum Kornowskie, spalone niepowrotnie w czasie pożaru wojennego Wrocławia w r. 1945, nie dorzuci już do historii wydawniczej „Nächte und Tage“ żadnych nowych szczegółów.

3

Dom Wilhelma Bogumiła Korna („mówią, że luminarz...“) nie przysłał Marii Dąbrowskiej honorarium. Przepisy dewizowe, obowiązujące w Trzeciej Rzeszy, były bardzo ścisłe: autor cudzoziemski, którego twórczość ukazywała się w przekładach niemieckich, mógł podjąć honorarium tylko w granicach Rzeszy — i w Rzeszy je zostawić. Heinrich na próżno nakłaniał Marię Dąbrowską, by przyjechała do Niemiec, żeby otrzymać i wydać swoje honorarium za „Noce i dnie“. Do dziś pozostało ono niezapłacone.

Kiedy w lutym 1946 r. Maria Dąbrowska przyjechała ponownie do Wrocławia, nie było już domu Bogumiła Korna. Zaledwie w księgarenkach wrocławskich, które zaczęły pośredniczyć w kolportażu książek po-niemieckich, można było znaleźć pojedyncze, ładnie oprawne egzemplarze przekładu Heinricha Koitza. Ale Dąbrowska wyprzedziła apele związków literackich i kulturalnych nie dla poszukiwań antykwarycznych.

Już jej pierwszy pobyt po wojnie w mieście Bogumiła Korna zostawił po sobie jasną smugę — pierwszego wieczoru literackiego we Wrocławiu. Na zebraniu Towarzystwa Literackiego im Mickiewicza w Uniwersytecie, 16 lutego 1946, Dąbrowska odczytała szkic krytyczny „O Conradowskiej wierności“ (drukowany później w czasopiśmie „Warszawa“, 1946, nr 1, pod rozszerzonym tytułem: „Conradowskie pojęcie wierności“). Pamiętam dobrze, jaka trema organizatorów towarzyszyła temu wieczorowi. Powitaliśmy Marię Dąbrowską strzelistym artykułem w miejscowym dzienniku pod zapomnianym już tytułem „Pionier“. Gdy rozdawałem zawiadomienie o odczycie, drukowane starannie, jak tylko pozwalało na to ubogie drukarstwo wrocławskie, zimą 1946 r., zapytał mnie w jadłodajni przy ul. Szewskiej zabłąkany tego dnia między humanistami pewien profesor medycyny: „Maria Dąbrowska? Czy to z tej stołówki?“ (Wrocław żył jeszcze wówczas „stołówkami“). Zdaje się, nie odpowiedziałem nic profesorowi. Pamiętam jeszcze, jak poprzedniego dnia, gdy składałem zawiadomienie o odczycie w jakimś urzędzie miejskim, powiedziała mi urzędniczka: „Ja jestem Maria Dąbrowska“. Odczyt był znamienny dla dyskusji ideowej i literackiej r. 1946, odbył się w schludnej sali Instytutu Filologii Klasycznej, bynajmniej nieprzepełnionej. Owego profesora nie zauważyłem. Wrocław kulturalny był wątły, dopiero zaczynał się zaludniać. Maria Dąbrowska — czy wie o tym tak dokładnie jak my? — dopomogła wspaniale do jego wzrostu.

W tydzień później, 24 lutego 1946, Dąbrowska czytała w sali Savoy'u swój „dramat wysnuty z dziejów XI w.“ pt. „Stanisław i Bogumił“. Można go było znaleźć w niedawnej „Twórczości“ (1945, nr 5, 1946, nr 1). Ale słuchając Marii Dąbrowskiej, słuchało się rzeczy nowej, jakby po raz pierwszy. Piosenki Czwańka, błazna królewskiego: „Naganiaj, naganiaj...“ nie powtórzy już tak nikt, jak Maria Dąbrowska. Wieczór zorganizowało — wraz z TUR-em — koło miłośników literatury i języka polskiego, powstałe w tamtych tygodniach. Na sali spotkało się około 80 osób, co było — wspomina Dąbrowska — „sukcesem wielkim (nie moim — Koła)“.

Później życie literackie Wrocławia uległo pewnej stabilizacji, doznało wyraźnego uporządkowania. Koło miłośników literatury osiadło przy Placu Nankiera i podjęło systematyczną inicjatywę „czwartków literackich“. Niemal za każdego swojego pobytu we Wrocławiu Maria Dąbrowska znalazła czas i ochotę, by zasiąść na godzinę przy stole prelegentów czwartkowych i rozłożyć przed nami swoje nowe rękopisy. Z diariusza kultury wrocławskiej wypiszmy te daty: 1 sierpnia 1946 Dąbrowska czytała artykuł „Patos i trzeźwość“, z wielką rzetelnością umysłową oceniający powstanie warszawskie; 15 sierpnia 1946 szkic publicystyki historycznej „Wojna z Niemcami 1870 r. w oświetleniu wielkich Francuzów, Flauberta i Goncourta“ (z fragmentami, niedrukowanych do dziś, przekładów pism Flauberta i Goncourta); 24 czerwca 1948 sugestywne opowiadanie z czasu okupacji hitlerowskiej w Warszawie „W piękny letni poranek“ (drukowane niebawem w „Odrodzeniu“, 1948, nr 26); jeszcze później — gdy koło miłośników przekształciło się w oddział Związku Literatów Polskich — wybrane rozdziały „Pamiętników“ Samuela Pepysa, dopiero niedawno prasowane pieczołowicie przez PIW.

Powie ktoś: kronika odczytowa! Ale wspomnijmy uchwałę Związku Literatów Polskich, przedstawioną Kongresowi Ziem Odzyskanych we wrześniu 1952. Maria Dąbrowska realizuje tę uchwałę spokojnie, konsekwentnie i z zapałem od zimowych miesięcy r. 1946.

Z owych pobytów nad Odrą, częstych, powtarzanych co lato, urosła osobliwa i pełna uroku dokumentacja literacka. To „Listy z Wrocławia“, drukowane przygodnie w „Nowinach literackich“, „Warszawie“, „Kurierze Codziennym“. Najcenniejszy zapewne rozdział w tej tece stanowi artykuł „Miasto i pismo“, drukowany w „Nowinach literackich“ (1947, nr 1), który redakcja „Zeszytów Wrocławskich“ wspomina z dumą i wdzięcznością (to tutaj opowiedziała pisarka swoją historię poznawania Wrocławia) List „O zoologu“, po którym chodziła Dąbrowska 27 października 1949, w towarzystwie małej Tulci Kowalskiej, należy do najświetniejszych kart polskiej literatury zwierzęcej (drukowany w „Kurierze Codziennym“, 1949, nr 354). List „O teatrze“, również z października 1949, przynosi recenzję z przedstawienia wrocławskiego „Zemsty“, którą trzeba włączyć skwapliwie do zasobów powojennej fredrologii (wraz z dyskusją autorki przeciw farsowej koncepcji widowiska, za wydobyciem ostrej satyry fredrowskiej środkami realistycznymi; ogłoszony w „Warszawie“, 1950, nr 1).

Kiedy odkładam i porządkuję cały stos druków, artykułów, wydarzeń, które nagromadziły się wokół postaci i twórczości Marii Dąbrowskiej we Wrocławiu, mieście Bogumiła Korna, spostrzegam zdanie o wartości formuły syntetycznej: „Zatrzymałam się nad tak osobistymi wspomnieniami o Wrocławiu — pisze Maria Dąbrowska — ponieważ wplatają los tego miasta w los mój własny i czynią z publicznej sprawy odzyskania Ziem Zachodnich sprawę moją własną“.

Tadeusz Mikulski

WIKTOR WOROSZYLSKI

Z moskiewskiego notatnika

3 października 1952

Moskwa jest inna, niż o niej myślimy z daleka. Myślimy schematami. Ludzi radzieckich wyobrażamy sobie często jakby „umundurowanych": o jednakowych twarzach, sposobie mówienia, zainteresowaniach, psychice. Nie chodzi mi w tej chwili o wyobrażenia narzucone przez wrogów. Nie, z całą serdecznością patrząc na Moskwę, na ludzi radzieckich, też nie potrafimy nieraz wyjść poza ubogi szablon „społeczeństwa pozytywnych bohaterów".

A tymczasem jest zupełnie inaczej. Ludzie są tu rzeczywiście i dobrzy, i mądrzy, ale inni, bardziej rozmaici, zindywidualizowani, niepodobni jeden do drugiego. Nie w tym rzecz, ma się rozumieć, że aspirant matematyki, Kola Trifonow, ćwiczy dwa razy dziennie podnoszenie ciężarów i, chociaż urodził się nad Wołgą, przekłada nad herbatę wrzątek z miodem, zaś namiętnością jego kolegi Działała są skomplikowane zadania szachowe. Rzecz w tym, że tak samo jak bardzo różnorodne są życiorysy, sytuacje rodzinne, upodobania tych ludzi — różne i „nieznormalizowane" jest ich życie duchowe, myśli, nasilenie uczuć, intymne i odrębne dla każdego cechy psychiczne. Zaskakuje samodzielność sądów na przykład o sztuce i literaturze, daleko posunięty krytycyzm. Już w paru pierwszych rozmowach spotkałem się z taką rozpiętością zdań na temat jakiegoś zjawiska literackiego (przy czym każde zdanie było na swój sposób dobrze umotywowane), w porównaniu z którą biedną najburzliwsze spory Lasoty i Sandauera. A zagadnienia moralne, bytowe! Wiadomo, że nowa, komunistyczna moralność umacnia się w społeczeństwie w walce ze starą, mieszczańską. Ale przecież nie jest to walka abstrakcji — różne pozycje, różne światopoglądy reprezentują tu różni ludzie. Oko turysty może tego nie dostrzec — ale wystarczy znaleźć się w e w n ą t r z społeczeństwa radzieckiego (np., tak jak my, w ogromnym domu akademickim), aby już po kilku dniach przejąć się całą gwałtownością nieustającej walki nowego ze starym. Zupełnie poważnie myślę o wielu moich moskiewskich znajomych, jako o pozytywnych bohaterach. Ale raduje mnie, że są tak nieoczekiwanie różnorodni, skomplikowani, niepowtarzalni w swoistym i odmiennym dla każdego przyjmowaniu świata, gorący w rozwiązywaniu częstych jeszcze konfliktów obyczajowo-moralnych. Te ich cechy szybko zamazują landszaft naiwnych wyobrażeń, który niemal każdy z nas przywozi tu ze sobą. Jednocześnie sprawiają one, że Moskwa jest inna, niż o niej myślimy z daleka: ciekawsza, prawdziwsza, bardziej z krwi i kości, bardziej ludzka, piękniejsza.

4 października pierwsza połowa dnia

Jadąc metrem z Sokolników do Placu Swierdłowa myślałem o swojej wczorajszej notatce. Chyba nie było niesłuszne zaakcentowanie zjawiska, które pierwsze zwróciło moją uwagę: owej rozmaitości, nieszablonowości ludzi radzieckich. Ale uczyniłem to w sposób jednostronny. Bo dają się dostrzec także cechy wspólne, częste, powszechne i wcale nie błahe.

Na przykład styl pracy. To się daje zaobserwować w pierwszej z brzegu stołówce czy tramwaju. Nie chcę nic złego powiedzieć o pracy naszych kelnerek czy konduktorek. Ale w ZSRR wykonywanie tych samych funkcji jest o całą nieskończoność sprawniejsze i wydajniejsze. W stołówce nie ma się nigdy poczucia straty czasu przez czyjąś opieszałość lub niezręczność. Widać, że kelnerce zależy na szybkim i jak najlepszym obsłużeniu klienta, że wkłada wiele pomysłowości w organizację i racjonalizację swojej, zdawałoby się, nieskomplikowanej roboty, że głównym zainteresowaniem w godzinach pracy jest wzorowe wykonanie obowiązków. I nie jest tu wyjątkiem stołówka w naszym domu akademickim (a obsługuje ona parę tysięcy ludzi i menu ma wcale obszerne), bo zaglądaliśmy i do innych, w różnych punktach miasta. I tak samo wygląda praca obsługi pociągu, którym przyjechaliśmy, pracowników komunikacji miejskiej (metra, autobusów, trollejbusów, tramwajów), ekspedientek w sklepach, personelu polikliniki. Wymieniam te dziedziny pracy społecznej, z którymi zetknęliśmy się bezpośrednio. Myślę jednak, że muszą one odzwierciedlać analogiczną sytuację w przemyśle i rolnictwie. Ten styl pracy, który dostrzegam w Moskwie, jest już trwałą zdobyczą kraju socjalizmu, jest ważną przesłanką spełnienia tych warunków przejścia do komunizmu, o których mówi towarzysz Stalin. A na razie, w codziennym życiu milionów ludzi, sprawia on, że wiele irytujących gdzie indziej drobiazgów tutaj traci swoje ostre kanty: nie ma awantur w tramwajach, zniechęcającego wyczekiwania w korytarzach poliklinik, upokarzającego przekonywania kelnera w restauracji, aby zechciał podejść do stolika. Przyjemniejsze, weselsze jest takie życie.

Inne powszechne cechy ludzi radzieckich — to wzajemna życzliwość, bezpośredniość, łatwość w nawiązywaniu kontaktu, internacjonalizm. Chyba wszystkie one występują w takim małym epizodziku: przedwczoraj wieczorem na Sadowej w pobliżu Cwietnego bulwaru zaczepiło mnie dwóch młodych ludzi:

— Nie wiecie, jak tu dojść do najbliższej stacji metra?

— Sam szukam.

— To poszukamy razem, dobrze?

Pauza nie potrwała nawet dwóch sekund.

— My jesteśmy z Woroneża. Lekkoatleci. Zakwaterowali nas koło stadionu „Dynamo", wiecie gdzie to? I ot, wyszliśmy trochę na miasto, a teraz trudno wrócić. A wy co, też nietutejszy? Niedawno w Moskwie?

— Niepełny tydzień. Jestem z Warszawy.

Chwila zastanowienia, i zaraz szeroki, serdeczny uśmiech:

— Znaczy, polski obywatel? To przyjemnie. Powiedzcie, jak tam żyje polska klasa robotnicza? Lepiej niż podczas wojny?

W tym miejscu drugi, niższy:

— Myśmy podczas wojny kiepsko żyli. Mój ojciec na przykład na froncie był, ja sam — mały — z matką. Bieda... A ot teraz ja już po wojsku jestem, pracuję, no i skaczę... — urwał i zwrócił się do mijającego nas przechodnia: — Obywatelu, nie wiecie, jak dojść do najbliższej stacji metra?

Zagadnięty, starszy mężczyzna, zatrzymał się i zaczął skrupulatnie opisywać drogę.

Nie jestem pewien, czy udało mi się przekazać atmosferę tego pozornie nic nie znaczącego epizodziku. W moim przekonaniu jest on bardzo charakterystyczny dla sposobu bycia tutejszych ludzi. Takie ich cechy, jak niesłychana prostota, otwartość, życzliwość, występują tu, jak na dłoni.

4 października, wieczór

Od naszego przyjazdu nie było tu jeszcze pogodnego dnia. Plucha i plucha. Tak i teraz — wybraliśmy się na Góry Leninowskie, a tu zimno, deszcz, przepastne kałuże, brrr! Nie wiadomo nawet, gdzie kończy się mrok, a zaczyna błoto. Ale sam Uniwersytet wygląda fantastycznie: oświetlony biały ogrom w koronce mgły, głęboko w niebie rubinowa gwiazda, wszystko razem jakby gdzieś bezszelestnie płynęło.

Uniwersytetu nie zwiedziliśmy; było już za późno, nie mieliśmy przepustek, i zresztą inaczej planowaliśmy sobie ten wieczór. Wypełniło go zebranie stowarzyszenia literackiego budowniczych uniwersytetu — „Wysotnik" (Wysokościowiec). Do stowarzyszenia tego należą murarze, szoferzy, kanceliści, jest jedna telegrafistka, jeden inżynier. Przychodzą też studenci, najbardziej zaawansowani z nich są czymś w rodzaju opiekunów koła, chociaż i zawodowych literatów można tu spotkać. Zebrania odbywają się co sobotę; jaki jest ich program — nie wiem, ale myślę, że za jakiś czas będę mógł o tym dokładniej napisać, postanowiłem bowiem być częstszym gościem „Wysotnika". Głównym punktem dzisiejszego zebrania były utwory członków stowarzyszenia, poświęcone Warszawie. Na budowie wychodzi gazeta o parutysięcznym nakładzie — i „wysotnikowcy" co jakiś czas przygotowują dla niej kolumny literackie. Projekt kolumny warszawskiej powstał bodaj na poprzednim zebraniu i dzisiaj kilku członków koła przyniosło już wiersze-„półfabrykaty" albo zanotowane pomysły utworów. Szofer Samochin przeczytał wiersz o czołgiście, który wyzwalał Warszawę, inny robotnik, Diatłow — o budowie Pałacu Kultury i Nauki, studentka Swietłana — o warszawskiej dziewczynie, która uczy się w Moskwie i bierze udział w „woskriesniku" na budowie uniwersytetu. Wiersze były bardzo różne — w intonacji, nastroju, ujęciu tematu; to, co je łączyło — to jakieś wielkie ciepło, serdeczność w stosunku do Polski. Przyznam, że, wzruszony treścią tych wierszy, płynącym z nich uczuciem, nie zwracałem uwagi na ich formalne usterki. Ale w dyskusji, która się potoczyła, zabrzmiały inne nuty; surowej, wymagającej, bezwzględnej krytyki. Rozpatrywano dokładnie i koncepcję fabularną, i kompozycję, i najdrobniejsze szczegóły — porównania, rymy, poszczególne wyrazy każdego z wierszy. Poziom dyskusji był wysoki, próbowano nawet formułować podstawowe prawa dobrej roboty pisarskiej. Nie spamiętałem wszystkich uwag, które padały, ale w trakcie zebrania wiele z nich poważnie mnie zastanowiło. M. in. krytyka wiersza Diatłowa. — Tu jest i krajobraz — mówiono — i historia, i Polska, i Rosja, i wesoły epizod z budowy, i wielkie uogólnienie. Za dużo tego dobrego. Wiersz nie może być o wszystkim, trzeba go budować na jakiejś konkretnej osi... Podobało mi się też, że autorzy nie udawali mniszej pokory: dyskutowali, bronili swoich pozycji, poddawali się dopiero po bardzo celnych strzałach, i wtedy widać było, że ich samokrytyka nie jest formalna, ale płynie z prawdziwego przekonania.

Jeszcze gwałtowniejsza dyskusja rozgorzała jednak w następnym punkcie porządku dziennego, kiedy jeden z opiekunów koła, student Jodkowski, odczytał swój poemat „Historia pewnej poprawki". Fabuła poematu oparta jest na autentycznym wydarzeniu z terenu budowy uniwersytetu: murarz Anochin wystąpił kiedyś z projektem pewnej racjonalizacji, inżynier Sołdatski utrącił projekt. Później podobną racjonalizację wprowadził inny murarz na innej budowie. W czasie dyskusji nad Statutem Partii „Prawda" opublikowała m. in. list Anochina o jego konflikcie z Sołdatskim. Jako wniosek z listu wypływał projekt poprawki o takiej mniej więcej treści: członkiem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego może być jedynie człowiek czynnie popierający nowe, postępowe metody w produkcji, walczący z rutyniarstwem i skostnieniem. Po odczytaniu poematu wybuchła burza. Utwór był o znajomych, bliskich ludziach, o sprawach, którymi wszyscy tu żyli — i nie można było ograniczyć się do wytykania słabości poetyckich. Zaczęła się wielka, zasadnicza rozmowa o racjonalizacji, o obliczu moralnym pracownika budowy, konkretnie o Anochinie, konkretnie o Sołdatskim, o odpowiedzialności poety, znowu konkretnie Jodkowskiego za publikację utworu, opartego na realnych, a niesprawdzonych do końca faktach, o tym, co jest dobre dla budowy, a co złe. Jeżeli przedtem miałem wrażenie, że dyskutują gospodarze literatury radzieckiej, to teraz widziałem zapalonych, spierających się, trzaskających pięścią w stół gospodarzy wielkiej budowy. A byli to ci sami ludzie.

Rozbieżności w ocenie racji Anochina i Sołdatskiego były duże. Między innymi inżyniera gorąco bronił Diatłow, członek Biura Partyjnego. Kto miał rację? — nie umiem odpowiedzieć. Chciałbym poznać bliżej i Diatłowa, i Anochina, i innych.

5 października

Dziś otwarto XIX Zjazd WKP(b).

A myśmy od rana, korzystając z niedzieli, poszli do Muzeum Majakowskiego. Małe pokoiki, w nich wszystko tak jak wtedy, kiedy on tu mieszkał. Na biurku — otwarty notes i pudełko papierosów „Wołgo-Don"...

Rozmawiałem z jednym z pracowników muzeum, towarzyszem L.

— Wiecie, na czym polega, moim zdaniem, tradycja Majakowskiego — powiedział L. — ta tradycja, z której niewielu poetów potrafi korzystać? Na stosunku do życia — aktywnym, gwałtownym, wymagającym, niecierpliwym. Weźcie pierwszy lepszy tom Majakowskiego i przejrzyjcie choćby spis tytułów. Ile zagadnień on atakuje, w jakie kąty włazi, jakie chwasty wyrywa! A u nas — dzieje się tyle rzeczy, a poeci stoją z boku i zachwycają się. Klaszczą w ręce: ach, jaka piękna budowa, jak ładnie, jak harmonijnie rośnie komunizm. A wy, towarzysze, nie zachwycajcie się — wy pomóżcie! Nie mówię, że wszyscy tacy, ale jest ta choroba, jest. Stąd i wszelkie teorie bezkonfliktowości. Stąd i brak satyry — jakby poeta nie miał już powodu do gniewu, oburzenia, szyderstwa.

W miarę mówienia zapalał się coraz bardziej. Później zamilkł na chwilę i już spokojniej dodał:

— Zobaczycie, że towarzysz Malenkow powie o tym w referacie.

— Skąd wiecie?

— Bo naród tak myśli, naród żąda od pisarzy innego stosunku do życia. A nasza Partia zawsze słyszy, co naród myśli, i wypowiada głośno te słuszne myśli, tylko jeszcze wzmocnione, pogłębione.

6 października

„Prawda" opublikowała referat sprawozdawczy Malenkowa.

Wypisuję z niego niektóre zdania dotyczące literatury i sztuki.

Znowu przypominają mi się przeżycia ostatnich dni: zebranie „Wysotnika", odwiedziny u Majakowskiego, i jeszcze inne spotkania, rozmowy, obserwacje. Zaczynam lepiej rozumieć źródła wielkich zwycięstw literatury radzieckiej, źródła tego faktu, że jest ona przodującą literaturą świata. A fakt ten — i to również zaczynam w tej chwili lepiej sobie uświadamiać — nie oznacza siedzenia na podwyższeniu i z wiankiem laurowym na głowie w nieruchomym kręgu bratnich i niebratnich literatur. Oznacza on ciągłe dążenie, aby być na miarę swego kraju, swego narodu, swojej Partii Komunistycznej, oznacza on nieustawanie ani na chwilę w nieubłaganej krytyce i samokrytyce, oznacza także nieporozumienia i błędy, ale nigdy zapamiętywanie się w nich, oznacza prócz wzlotów również upadki, ale przede wszystkim szybkie dźwiganie się z nich, oznacza on — i chyba wszystko zawiera się w tym określeniu — najbardziej upartą *partyjność*. Tego zaś pisarz może się tu uczyć codziennie — zarówno od robotników budowy uniwersytetu, jak od sekretarzy KC.

Wiktor Woroszylski

EUGENIUSZ BIEDKA

UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Rzeźba głowy schylona nad progiem
ma w twarzy wykute cierpienie.
Panno, dlaczego płaczesz?
Ach, tyś nie z tego wieku...

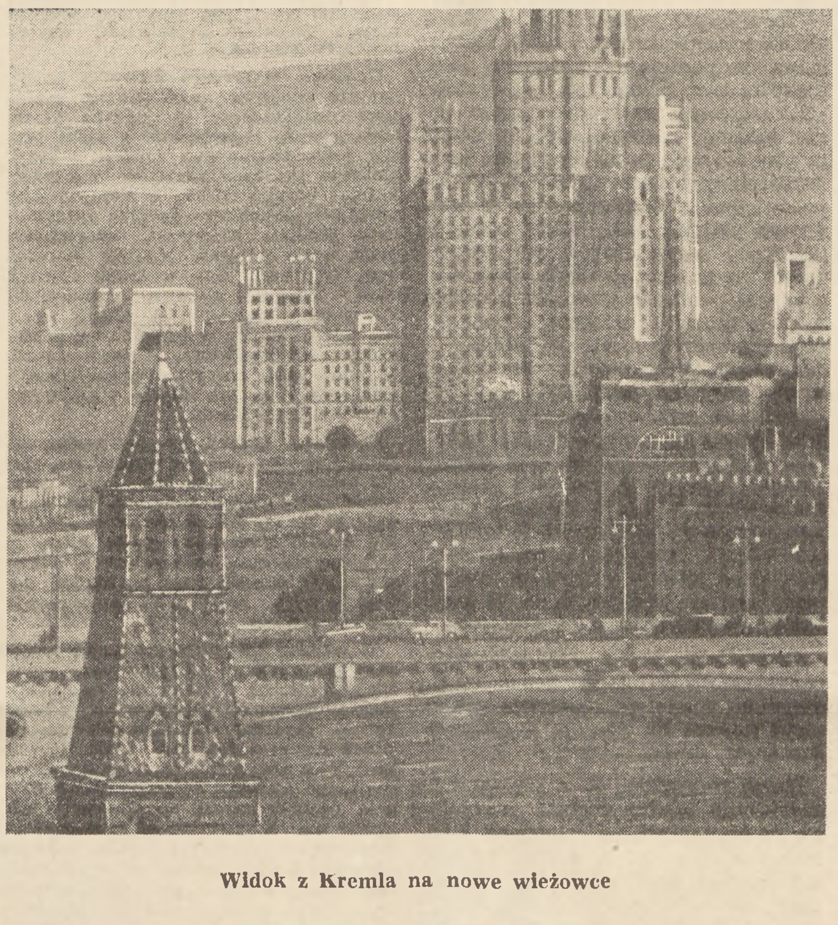
Tu co dzień przychodzi młodzież,
pod kasztanów nawisłe cienie
i wchodzi do starych pałaców,
które teraz młodością się cieszą.

Uniwersytet — pierścień złoty
dla wszystkich otworzył bramę.
Tutaj życie zaślubia się z nami
i także zaślubia się miłość.

A pośrodku pierścienia — serce,
ogród mądrości człowieka,
panna piękna i zawsze młoda —
biblioteka.

Kiście gzymsów i pąki kolumn
słońce światłem rzeźbi i bieli.
Dziewczęta młode i wesołe
uśmiechem z chłopcami się dzielą.

Panno! dlaczego w płaczu
marszczysz czoło spod bujnych włosów?
Ach! tyś nie z tego wieku...
Wykuj młody nasz wiek, rzeźbiarzu,
wykuj w śpiewie pannę radosną!



Widok z Kremla na nowe wieżowce

ANDRZEJ DRAWICZ

„Za słuszną sprawę"

Radziecki miesięcznik literacki „Nowyj Mir" zakończył w ostatnim, 10 numerze druk nowej powieści Wasyla Grossmana „Za słuszną sprawę". Rzecz zakrojona jest szeroko — cztery odcinki miesięcznika objęły dopiero pierwszy tom, a chronologicznie — okres lato - jesień 1942 r.

Tę jesień pamiętamy dobrze. Hitlerowska machina wojenna w stadium swego największego rozpędu już niedługo połamie swe tryby w mieście, którego daleka nazwa stała się naraz bliska i droga milionom ludzi. Rozpoczyna się bój o Stalingrad. Zanim się rozpocznie — zanim stopa najeźdźcy dotrze aż do brzegów Wołgi i faszystom zdawać się będzie, że Związek Rad został rzucony na kolana — nastąpią jeszcze dni walk w łuku Donu, przeprawy pod skoncentrowanym z ziemi i powietrza ogniem nieprzyjacielskim, obrona na przedpolach miasta. Dni ciężkie, trudne — a zarazem porywające, bohaterskie. Dni walki za słuszną sprawę.

Powracają teraz na kartach powieści. Z gmatwaniny losów życiowych wielu jej bohaterów powstaje wypadkowa zdarzeń i praw historycznych tego okresu. Nabiera ostrości i głębi obraz człowieka radzieckiego.

O to bowiem pisarzowi najbardziej chodzi. Celowo nakłada sobie hamulce — nie daje się porwać i nieść wartkiemu tokowi wydarzeń, nie zagęszcza akcji dramatycznymi opisami starć bitewnych. Powieść tym typem ujęcia przypomina Erenburgowską „Burzę". Nie batalistyczne panoramy nadają jej ton. Czytelnika nie zagłuszają salwy artylerii, wybuchy bomb i ogień automatów. Akompaniują one raczej myślom i sprawom ludzi, których losy śledzimy na kartach książki.

Człowiek. Jego postawa w latach wojny. Jego walka nie tylko z przeciwnikiem — również z samym sobą, ze strachem, ze słabością. Wyrastanie bohaterów, krzepnięcie słabych, moralna degradacja tchórzów i panikarzy. Oto o czym chce powiedzieć książka. Ma ambicje odzwierciedlenia prawdy historycznej poprzez prawdę psychologiczną. Wydarzenia wojenne są odczynnikiem, pod wpływem którego zachodzi reakcja. Suma tych reakcji składa się na nową jakość. Jest nią człowiek radziecki — obrońca swej ojczyzny. Zarówno major Nowikow, komisarz Krymow, lejtnant Szaposznikow — prowadzący obronę przeciwpancernej brygady, kierujący ogniem artylerii, czy zdobywający dworzec stalingradzki — jak i siostra miłosierdzia Wala, do ostatniej chwili wynosząca rannych z płonącego szpitala. Również profesor Szturm, prowadzący w najcięższych chwilach nieprzerwanie swe badania naukowe, na wyniki których czekają bojownicy zaplecza — robotnicy i inżynierowie. I wielu, wielu innych.

Obraz jest szeroki. Nie brak mu głębi — każda niemal postać, zanim rozpocznie działać w danym momencie akcji powieściowej — demonstruje czytelnikowi swoje poprzednie losy. Takie cofanie się raz po raz wstecz, przerywające jednolitość toku narracji, może narazić autora na zarzut zbytniej statyczności, przewagi opisu i odautorskiego komentarza nad wydarzeniami, akcją. Tak mógłby powiedzieć krytyk. Czytelnik - amator scen batalistycznych zakrzyknąłby po prostu „Ależ, gdzie tu jest wojna?" Wydaje się jednak, że ani jeden, ani drugi nie zrobi tego, gdy pozna tę piękną książkę do końca.

Nie było w całym okresie wojny momentu, który bardziej zasługiwałby na nazwę decydującego. Dlatego przy nałożeniu wszystkich tłumików — surowa, piękna prawda tamtych dni przebija z kart powieści.

Jest w książce jedna z rzadkich scen batalistycznych — obrona stalingradzkiego dworca przez batalion słynnej 13-ej dywizji gwardyjskiej generała Rodimcewa. Batalion jest okrążony. Obręcz przeważających sił niemieckich zacieśnia się nieuchronnie — przewaga jest zbyt wielka, aby największe nawet bohaterstwo zdolne było przeważyć szalę. Obrońców czeka pewna śmierć.

Dzięki owej trosce pisarza o pełny kształt ludzkich przeżyć i spraw, w powodzi ognia, pod gradem pocisków, obserwujemy wraz z nim, kim są, co myślą, jak reagują żołnierze batalionu lejtnanta Filiaszkina. Słuchamy ich rozmów o rodzinach, odpoczynku, drobnych codziennych sprawach i zaraz potem widzimy grymas strachu, pokonanego przez gniew, ostatni skurcz palców na spuście karabinu maszynowego, przedłużany wolą człowieka, który wyrósł w walce i wie — jak i za co ma zginąć.

Nawet wtedy, kiedy życie liczy się już tylko na godziny, ludzie ci są oddani swym ludzkim sprawom. Filiaszkin kocha sanitariuszkę Lenę Gnatiuk — nie znajdując wzajemności. Podobnie sama Lena nie może znaleźć drogi do serca lejtnanta Kowalowa. Krótko, niemal brutalnie, przebiegają spięcia uczuciowe — już za chwilę rozpocznie się nowy kolejny atak niemiecki. Ale bohaterowie Grossmana są ludźmi z krwi i kości. Tym lepiej widzimy ich hart i odwagę, z jaką oczekują śmierci, mającej przerwać ich pełne, bogate życie.

Podając i wykonując własne komendy osuwa się na rozdygotany cekaem Filiaszkin. Kula przerywa Kowalowowi pisanie ostatniego raportu. Spokojnie — ale przez spokój ten czujemy skurcz ściśniętego gardła — brzmią słowa o śmierci Leny Gnatiuk. „O świcie przyleciał jednomotorowy Junkers — skrzydła i dziób jego stały się różowe, gdy nurkował nad dworcem. Bomba upadła w dół, w którym znajdowali się ranni, Lena Gnatiuk, dwaj sanitariusze — i nie zostało tam żywej istoty".

Niedługo potem, przed nacierającymi tyralierami niemieckimi, w kłębach dymu, wśród ruin dworca wyrasta postać ostatniego obrońcy. Przecięty seriami automatów żołnierz pada, ściskając w dłoni granat. „Kto zwyciężył w tej bitwie?" — pyta autor, szukając u czytelnika potwierdzenia odpowiedzi, jaką zawarł w swym opisie. I czytelnik potwierdza. Oni!

Tym samym potwierdza się także słuszność metody. Epicki spokój, pozorna beznamiętność, będąca w istocie powściąganą pasją, splecenie losów ludzi z losami kraju, składają się na ogólną sumę prawdy, powstałej z szeregu prawd cząstkowych — oto cechy tej metody.

Akcja tomu I urywa się w momencie szczytowego napięcia walk o Stalingrad. Można mieć nadzieję, że następne tomy „Za słuszną sprawę" złożą się na całkowity, pełny obraz walki miasta - bohatera i jego obrońców.

W nowej powieści Grossmana nie ma uproszczeń. Wojna rodziła nie tylko bohaterów — w jej powieściowym wizerunku znajdą się i tchórze, szukający sobie w obliczu decydujących starć ciepłego gniazdka na tyłach. Znajdą się również biurokraci i dowódcy starego typu — formaliści, krzykacze. Takim jest generał Bykow, takim — dowódca oddziału ochotników stalingradzkich, wrzaskliwy Kriakin. Ale samo życie eliminuje te postacie poza nawias wydarzeń, a także i uwagi czytelnika. W jej centrum pozostaje kto inny.

Dowódca 62 armii, bohaterski generał Czujkow, który wraz ze swymi oddziałami trwa, przyciśnięty do samego brzegu Wołgi. W schronie, rozlatującym się niemal od artyleryjskiej kanonady, Czujkow ani na chwilę nie przestaje pracować. Odrywa się jednak od stołu, by przykryć płaszczem swego młodego adiutanta, przez sen wzywającego matkę.

Generał Rodimcew, dowódca 13 dywizji gwardyjskiej, natychmiast po przybyciu na brzeg stalingradzki organizuje natarcie, które zadaje pierwsze ciosy przeciwnikowi.

Stalingrad musi paść! — brzmi histeryczny wrzask z gabinetu Reichskanzlei. Tu również dociera spojrzenie autora. W kilku krótkich, autonomicznie niejako w całość wkomponowanych scenach, obnaża pisarz duchowe oblicze hitleryzmu, jego szeregowców i przywódców. Grossman nie poszedł tu na kuszącą łatwiznę groteski i karykatury — jego Hitler stanowi syntezę grozy, śmieszności i zaznaczających się cech obłąkańczych. Przy tym nie istnieje on sam dla siebie — został wraz ze swym dalszym i bliższym otoczeniem pomyślany jako przeciwstawienie, kontrast do wizerunków ludzi radzieckich.

Książka ma wszelkie szanse wzbudzenia żywego zainteresowania zarówno radzieckiego, jak i polskiego czytelnika. Na pewno warto ją przetłumaczyć — i powinno to wziąć w swych planach pod uwagę któreś z naszych wydawnictw. Ta część epopei z niedawnych lat walki jest dla nas cenna z wielu powodów. Jako przekonywające memento dla naszych wrogów. Jako lekcja wyrastania narodu - bohatera — dla społeczeństwa, które zawdzięcza mu swe zwycięstwo. A także dla naszych pisarzy — jako przykład dobrej, wspartej dużą wiedzą o człowieku, roboty literackiej.

Andrzej Drawicz

TADEUSZ KONWICKI

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Z zapisków schematysty

OŚMIU BRACI BORA-KOMOROWSKIEGO

Zwiedzając tej jesieni rozpoczynającą się Bugobudowę, zajechaliśmy do Nadzoru Robót. W ciasnej izbie zgromadzili się robotnicy. Ćmili papierosy, opowiadając o swoich kłopotach. Szczególnie użalał się pewien brygadzista ubrany w granatowy, nieprzemakalny płaszcz. Krytykował kierownictwo, narzekał na brak stołówki, klął lichą jakość gumowych butów.

W którymś momencie jeden z inżynierów szepnął mi do ucha:

— Niech mu się pan dobrze przyjrzy. Potem wyjaśnię...

Ale w wyglądzie brygadzisty nie dostrzegłem nic szczególnego. Czerstwa twarz, rysy ani wyraziste, ani małe, tylko oczy leciutko przymglone. Widać, przy niedzieli, „nadepnął trochę na korek".

Kiedy wyszliśmy na podwórze, inżynier rzekł z odrobiną ni to satysfakcji, ni to skłopotania:

— Ten brygadzista jest bratem Bora - Komorowskiego.

I widząc, że rewelacja ta nie uczyniła na mnie większego wrażenia, dodał z irytacją:

— Nie wierzy pan? Nazywa się przecież Komorowski i z twarzy jest bardzo podobny...

— Widzi pan — rzekłem — trudno mi uwierzyć, ponieważ w różnych częściach kraju i przy różnych okazjach pokazywano mi już ośmiu braci Bora - Komorowskiego.

Inżynier ten, opierając się na rozsądnej przesłance, że Bór - Komorowski może mieć braci, spokrewnił z nim krytycznie usposobionego brygadzistę.

Podobnym złudzeniom ulegają i pewni krytycy literaccy, którzy długo nie mogą uspokoić się po odbytej przed rokiem bitwie ze schematyzmem. Nie stanąwszy na czas z orężem — dopiero teraz często odnajdują ukrytego wroga — schematystę, i bez przesłuchania przetrzymanego poczynają go karać. Jeszcze dziś na samo wspomnienie terminu „schematyzm" burzy się w nich krew, Gdy się coś im nie podoba — śmiało opatrują to etykietą schematyzmu.

A tymczasem schematyzm*), broniąc się bardzo słabo, dawno podał tyły, znikł prawie z naszego życia, dogorywa gdzieś tam na marginesie działalności wydawniczej, w jakichś drugorzędnych broszurkach czy w reportażu, któremu — niesłusznie — mało poświęcamy uwagi. Nie dość, niektórzy amanci tej poetyki wykonawszy zręczny dyg na schematycznej scenie wycofali się, usprawiedliwiając się gęsto, i znów próbują strun bardeonu prozy psychologiczno - aluzyjnej.

Jednakże w słusznej wojnie ze schematyzmem (a więc prymitywnością) nie wszystko wyjaśniono. Często traktowano go jak szarańczę, która ni z tego, ni z owego spadła na kwiecistą łąkę literatury. Nie wszyscy pisarze widzieli w nim pierwsze, niezdarne stadium rozwoju nowej literatury. Ale jednakże zdopingowano oseska, żeby biegał, no i niech biega na zdrowie.

W ogniu walki ze schematyzmem piekły się też kasztany pewnych tendencji polityczno - literackich. Sądzę, że warto im się przyjrzeć.

CIĘŻKI TRUD PŁYWANIA POD PRĄD

W środowisku literackim można spotkać pisarza bardzo rozmiłowanego w największych dziełach literatury mieszczańskiej. Szacunek i miłość do tych pomników myśli i uczuć minionych pokoleń są godne uznania. Gorzej jednak, jeśli ci pisarze, usiłując sprostać swoim znakomitym poprzednikom, przejmują ich poetykę, ich stosunek do otaczającego świata, a w końcu ich światopogląd dla wygody odrobinę skorygowany wymogami współczesności. Pisarze ci, może nawet bezwiednie, bronią niezależności swego warsztatu jak Flaubert, okraszają sarkazmem obserwacje społeczne jak Stendhal. Pisarze ci uczyli się tej literatury w szkole, uczyli się jej także, kiedy zasiedli przy biurku literata. Wrośli w nią nie tylko formalnie. Zniekształciła się więc i perspektywa filozoficzna; być może nie zawsze był czas, żeby ją uważnie sprawdzić.

Jednocześnie jesteśmy świadkami, ba, nawet uczestnikami, wielkich procesów polityczno - społecznych. Mamy możność obserwowania przemian narodu radzieckiego, który wchodzi w komunizm. U nas także gwałtownie przekształca się społeczeństwo, wyrasta nowa moralność, tworzą się nowe warunki ekonomiczno - społeczne. I pisarze ci biorą w tych procesach udział jako działacze, jako członkowie tego społeczeństwa. Jednocześnie w swoich utworach uporczywie powracają do starych wzorów, odrobinę je odświeżając. Nie zawsze to wychodzi udatnie, często ta antynomia przysparza wiele trudu, który — być może — nie jest wcale tak bardzo twórczy. Stare nawyki myślowe mącą perspektywę, tym bardziej, że te nowe utwory, szyte starą nitką, spotykają się nawet z uznaniem krytyki. Sprawia to, że pisarz utwierdza się w słuszności swoich wysiłków i nie próbuje przewartościowania zastałych kryteriów literackich.

Być może — pojawienie się pierwszych utworów literackich, które spowodowały lawinę schematyzmu, przyprawiło tych pisarzy o pewien niepokój. Przerazili się, że oto rozsypuje się w gruz piękny budynek wielkiej literatury, że ginie to wszystko, co tak bardzo umiłowali, że dochodzi do głosu jakaś półbarbarzyńska poetyka, której nie potrafią i nie chcą sprostać. Przypuszczam, że autorzy tych pierwszych „schematoidów" często rozmyślnie wpychali do swych utworów tyrady polityczne, zaprawione frazesem, że rozmyślnie faszerowali prozę produkcyjnymi terminami, które szokowały naszych Flaubertów. Bo panowała jeszcze otaczana powszechną czcią proza aluzyjna i wstydliwa, proza nie bardzo odpowiadająca walce politycznej, jaka rozgrywała się w naszym społeczeństwie. Nasi Flaubertowie przelękli się mocno, bo nie umieli ujrzeć tego zjawiska w perspektywie historycznej, bo obawiali się, że już tak zostanie „na zawsze".

Jednocześnie pisarze ci pomawiając — przeważnie bardzo słusznie — kolegów o schematyzm, nie dostrzegali, że przecież i oni sami tkwią w schematyzmie, w schematyzmie rozpisanej na dziesiątki tysięcy tomów literatury mieszczańskiej. W schematyzmie wyjałowionej już literatury, która u nas nic więcej do powiedzenia nie miała. Jednakże, widać, ten schematyzm był im bardzo bliski, a bliskim wybacza się wiele. Domagając się — słusznie — odwagi od literatów, którzy popełnili schematyczne utwory, nie przykładali tych wymagań do siebie.

Bardziej zatwardziali z tych pisarzy do dziś jeszcze wierzą, że są na słusznej drodze. Swoje konflikty z krytykiem czy kolegą „po formie" tłumaczą rozmaicie. Że ten krytyk i ten kolega to ludzie ograniczeni, pozbawieni talentu, że trzeba jakoś przetrzymać niesprzyjające warunki, a przyszłe pokolenia docenią tę bagatelizowaną dziś twórczość, gdyż jest ona ściśle wzorowana na utworach, które sto lat temu przyjęła na swe półki wielka biblioteka światowa.

A przecież rzecz powtarzana często traci na sile, więc przyszłe pokolenia mogą jednakże nie docenić. Może chętniej będą czytały te utwory sprzed stu lat, te utwory, które były w swoim czasie rewolucyjne. Nawet warto się zastanowić, czy pokolenia przyszłe będą tak zupełnie jota w jotę podobne do tego, w którym rósł pisarz.

Jeden z moich znajomych, prześladowany podczas wojny, ukrywający się przez kilka lat, szantażowany niejednokrotnie, nabył kompleksu munduru. I jeszcze dziś na widok uniformu strażaka, odczuwa chłód na skórze. Niewątpliwie więcej ludzi cierpi na ten kompleks. Ale nie ma danych do przypuszczeń, że przyszłe pokolenia będą odczuwać podobny uraz.

Bardzo często spotyka się jeszcze konflikt między rodzicami a dziećmi. Jest on w dużej mierze pozostałością społeczeństwa burżuazyjnego. Ukazuje go bardzo przekonywająco chociażby Uniłowski w „Dwudziestu latach życia". Ale byłoby lekkomyślnością spodziewać się, że i przyszłe pokolenia będą się borykały z takimi samymi konfliktami.

Chciałbym się zastrzec, że nie podejrzewam naszych dzieci i naszych wnuków o tępotę myślową i uczuciową. Przeciwnie, przypuszczam, że będą nawet wrażliwsi od nas i piękniejsi. Ale podziwiając barwy fajerwerku nie drgną chyba pod wpływem reminiscencji o salwach artyleryjskich.

Więc nie warto w zadufaniu mierzyć przyszłości sobą.

„UTRUDNIACZE"

Jeszcze w zgiełku bitwy ze schematyzmem poczęto — bardzo słusznie — wołać o literaturę ambitną, literaturę, która by ukazała wielkość naszych czasów. Było to ze wszech miar potrzebne. Nowe nie wyrasta z niczego. Nowe wyrasta z walki, ze starć, które są dramatyczne, niełatwe do przebadania. Ale pisarze nawykli do samotności i negacji podchwycili skwapliwie jedno hasło: „trudności!" Większość pisarzy pod terminem tym rozumiało piękno naszych zmagań, reszta — ponadczasowe skłopotanie, ponadczasową nostalgię.

Owo hasło strwożyło niezmiernie pewnych pisarzy. Porzucili więc szybko beztroskę, chmurząc czoła. Napisane już utwory poczęli na gwałt „utrudniać", dodając chociażby zakończenie ozdobione melancholijnym pytajnikiem. Inni na kartach książek odprowadzili swych bohaterów do Urzędów Bezpieczeństwa, aby „utrudnić" im życie. Inni znów poczęli się męczyć nad wymyślaniem trudności, gdyż jak przedtem nie znali entuzjastycznej radości swych pupilów, tak teraz niewiele wiedzieli o ich troskach i kłopotach.

Hasło to było bardzo wygodne dla kontynuatorów mieszczańskiej literatury. Z okien swych pracowni widzieli już nadbiegających parlamentariuszy, którzy z powrotem nieśli im odebrane przed kilku laty teki ministrów literatury. Platforma „trudnościowa", nie okolona barierami, mogła zmieścić wielu ludzi. Literatura „trudnościowa" w pewnych organach powonienia budziła radosny i dobrze znany zapaszek mieszczański.

Oszołomiona powabnym sloganem spora część naszej krytyki do reszty straciła głowę. Pragnąc utrzymać się „na linii", poczęła pieścić płatki kwiatków literatury, bała się już zajrzeć do korzeni, gdyż korzonki te mogłyby się okazać sparciałe, czerpiące soki ze starej gleby. A skrupulatność w badaniu aktualnych zjawisk literackich narażałaby śmiałka na zarzut schematyzmu. Krytyka więc poczęła reagować tylko na dwa kolory: schematyczny i „trudnościowy". Dla tego drugiego nabrała pieczołowitej wyrozumiałości, starała się w nim nie dostrzegać całej gamy odcieni, z których wiele zdobiło do niedawna paletę drobnomieszczaństwa.

Należałoby tu wspomnieć i o niektórych redaktorach, tych od wydawnictw i tych od czasopism. Śród nich także działali wielbiciele „pięknej sztuki pisania" (mieszczańskiej — rzecz jasna). Można sobie wyobrazić ich nader trudne położenie. Określona oficjalność zajmowanego stanowiska nakazywała im popieranie schematycznej produkcji. Czynili to dla świętego spokoju. Ale „w cywilu", na codzień, pełne usta mieli formalistycznych dykteryjek, cmokań, ochów. Podkreślali zapewne w ten sposób srogość losu, który zmusza ich, ludzi wykwintnych, do zajmowania się prostacką robotą. Jeśli się pojawiał petent z utworem napisanym w umarłej poetyce, rozsyłali zapobiegliwie to dzieło do wielu recenzentów. A w końcu zwracając utwór pisarzowi tłumaczyli poufnie: „Bardzo to pięknie napisane. Można powiedzieć: świetnie. Ale pan rozumie, dziś... Niestety, na tym etapie jeszcze... chociaż ja osobiście jestem zachwycony..." No i literat odchodził rozżalony, przekonany o istnieniu jakiejś nieznanej a bezlitosnej siły, która wbrew wszystkim życzliwym skazuje znakomite — w jego mniemaniu — dzieło „na szufladę".

Oczywiście hasło „trudnościowe" podekscytowało i tych redaktorów, dając im iluzję, że następuje generalny odwrót na pozycje wyjściowe literatury mieszczańskiej.

Rzecz szczególna, iż owi pisarze i redaktorzy bardzo chętnie powołują się na humanizm, na człowieka. Być może — czynią to w dobrej wierze. Zapominają jednak, że nie należy, niby miłosierny samarytanin, okrywać płaszczem humanizmu także brudu, nędzy moralnej, tego błota z dna burżuazyjnego społeczeństwa, błota, które można u nas jeszcze znaleźć.

Te samarytańskie ciągoty upudrowane humanizmem sprawiają wiele zamętu w słabszych głowach. Pewien młody i zdolny pisarz zwierzył mi się niedawno, że zamierza poświęcić swój talent opiewaniu tych reliktów starego, które w naszym ustroju są najszybciej skazane na zagładę. W słowach jego wyczuwałem pewne rozgorączkowanie jakby pod wpływem obawy, że życie ubiegnie ambitny zamysł.

RADOŚCI ODPROWADZAJĄCYCH

O ryzykanctwie moich rozważań zdawałby się świadczyć fakt, że najlepsze książki ostatnich dwu lat witane są z jednogłośną aprobatą. Oczywiście jest to zastanawiające. Po zwycięskiej bitwie ze schematyzmem umilkły całkowicie surmy bojowe. Walka ideologiczna o nową literaturę — można by sądzić — ustała całkowicie. Ze zwartych szeregów naszej krytyki wydobywają się jedynie westchnienia zachwytu. Wielu recenzentów specjalizuje się nawet w sztuce urządzania akademii.

Przypuszczam jednak, że obraz toczącego się starcia w szeregach literackich zamazało trochę hasło o trudnościach, które podchwycili świadomi i nieświadomi nasi przeciwnicy. Przypuszczam, że zgodzą się oni chętnie na każdą książkę, w której odnajdą chociaż odrobinę swojego. Będą się kurczowo chwytali tej słomki, przymykając oczy na rzeczy niewygodne.

Igor Newerly nasycił swą piękną książkę „Pamiątka z Celulozy" romantyzmem walki ludowego bohatera. Jednakże z niektórymi akcesoriami tego porywającego przecież romantyzmu nie mógłbym się pogodzić. Mam na myśli ów epizod ze stryczkiem, który wydaje mi się przesadny, a przede wszystkim obcy w powieści. Podejrzewam, że pisarze, o których mowa, czytali ten fragment książki z ukontentowaniem, przerzucając bez ciekawości karty zawierające opis walk ulicznych proletariatu Włocławka.

Pisarzy tych cechuje bardziej bezkompromisowa nietolerancja, niż prostackich schematystów. Domagają się kategorycznie tylko jednego: posępnej krytyki, krytyki tego co ich otacza, krytyki warunków, w których żyją. Oburza ich każde cieplejsze wzruszenie, każdy uśmiech pozbawiony ironii. A przecież umiłowana przez nich literatura mieszczańska, nawet ta schyłkowa, której nektar pili w młodości, też nie była tak bardzo jednolita w nastroju. I tam decydowała między innymi konstrukcja psychiczna pisarza. I tam odnajdziemy schematyczny entuzjazm dla urody życia, znajdziemy może i wzruszenie nad pięknem człowieka, znajdziemy obok ponurych melodramatów i lekkie, swawolne nowele.

Tak więc maszerującą ku wyżynom literatury socjalistycznej kolumnę naszych pisarzy odprowadzają „utrudniacze" wznosząc „trudnościowe" okrzyki. Nawet dobre i cenne książki, w których odnajdują kąsek dla siebie, witają i witać będą rzęsistymi oklaskami. Wydaje mi się jednak, że oklaski te będą słabnąć i ucichać, aż wreszcie zamilkną. Część odprowadzających włączy się do kolumny, a reszta zostanie daleko w tyle. Szkoda tylko, że krytycy, opanowani przez entuzjazm, w marszu tym pragną pełnić funkcje jedynie mistrzów ceremonii.

Tadeusz Konwicki

*) Warto zwrócić uwagę, że schematyzmem pieczętowano bardzo często zwykłą grafomanię, która pleni się chyba w każdych warunkach ustrojowo-politycznych. Nie bez kozery starano się pasować zacnych grafomanów na szermierzy nowej literatury. Dzięki takiemu chwytowi łatwo było skompromitować zalążek nowego kierunku literackiego. Literaci, którzy uczciwie chcieli szukać nowych dróg pisarskich, znaleźli się raptem w uwłaczającej im kompanii. Termin: „schematyzm", którym początkowo z gniewem określano prymitywne owoce tych poszukiwań, tracił coraz bardziej swą — że tak się wyrażę — hardość, nabierał coraz bardziej obelżywego znaczenia.

WACŁAW SADKOWSKI

Notatnik z wypraw w „teren"

Stefan Otwinowski: „Spotkania z uśmiechem". Okładkę proj. Jan S. Miklaszewski. „Czytelnik", 1952, str. 113 i 3 nlb.

„Spotkania z uśmiechem" Otwinowskiego — to książka nieduża, napisana — jak zwierza się autor — stylem „praktykującego felietonisty"; zawarły się w niej uwagi i obserwacje z podróży pisarza po województwie krakowskim, z pisarskich wypraw i wycieczek po tej ziemi, na której, zdaniem autora, krajobraz Planu Sześcioletniego jest najbardziej widoczny po „okolicach specjalnego wzrostu życia społecznego".

Zebrane w tomiku reportaże i szkice mówią o takich zagadnieniach jak zdobycze i zwycięstwa rewolucji kulturalnej („W powiatowym mieście", „Siłownia na widnokręgu", „Spotkania z uśmiechem"), jak świadoma i piękna praca ludzka w nowych zupełnie dziedzinach przemysłu („Inżynier butów"), jak wychowawcza, przekształcająca i hartująca człowieka rola pracy („Pierwsze dachy", „Trudny uczeń"), mówią wreszcie o nowych konfliktach i radościach nowych ludzi („Gniew poety", „Trudny uczeń", „Świąteczny dzień", „Sport na wsi", „Wakacje"). Szkice Otwinowskiego pochodzą więc z frontu realizacji Planu Sześcioletniego.

Na tym właśnie polega ich największa wartość dla nas — i dla samego autora, w którego dorobku pisarskim stanowią pozycję kluczową i zwrotną. Mocny i szczery, nowy akord głębokiego humanizmu i związania z codziennym życiem i pracą kraju czyni ze „Spotkań z uśmiechem" tomik ważki i interesujący. Widać z tej książki, że nie powstała ona z jednej wycieczki „w teren", że — przeciwnie — autor rozporządzał prawdziwym bogactwem konkretnych spostrzeżeń i obserwacji, że umiał on selekcjonować fakty i podpatrzeć w nich to, co jest zgodne z zasadniczym nurtem rewolucyjnych przeobrażeń kraju, przejawiających się w każdym codziennym życiowym fakcie.

Obok znajomości tych spraw, zżycia z nimi i zrozumienia ich, książka ma inną jeszcze podstawową zaletę — jest bardzo ciepła i serdeczna. Może właśnie ta bezpośredniość reagowania na życie, bezpośredniość relacji o faktach właśnie przed chwilą dokonanych, określiła szkicową, felietonową czy może nawet felietonowo-reportażową formę książki. A już na pewno to ona jest podstawą i pokryciem dla serdecznego tytułu książki.

Rodzaj, gatunek formalny „Spotkań z uśmiechem" nie jest oczywiście wynikiem przypadku, niepodporządkowanym świadomemu zamierzeniu pisarskiemu. Wręcz przeciwnie — w książeczce Otwinowskiego mamy do czynienia ze świadomą koncepcją literacką felietono-reportażu, zastrzegającego sobie prawo do pewnych swobodnych, a nawet kapryśnych powiązań treściowych i zabiegów stylistycznych i z konsekwentnie utrzymaną w ramach tego zamiaru artystycznego kompozycją. Wszystko to świetnie na ogół w tomiku „trzyma": stylistycznie jest on niemal po snycersku wykończony, a konstrukcja zarówno poszczególnych opowiadań, jak i ich cyklowego układu, obfituje w przemyślane i uzasadnione misterności. Po tomiku snują się pewne wątki i postaci (Olchowski, Kalita, Dyrwiakowie, sprawa Sarneckiego), będące „fabularnymi" i ideowymi wiązadłami całości. Bogata stylistyka, sięgająca niekiedy do trudnych alegorii, aluzji i symbolów, zróżnicowana i elastyczna, oparta jest w całym tomie o jednolite i konsekwentnie stosowane zasady. Potrafi ona wyrazić i ciepły humor (postać Olchowskiego), i groteskę, dobrotliwą i „pozytywną" (Kalita), i patos scen produkcyjnych, i gniew, polityczną pasję (postać Sarneckiego).

Tomik więc jest artystycznie dobrze wygrany w zamierzonej tonacji pisarskiej. Jeśli trzeba przeciwko jakimś jego uchybieniom podnieść zastrzeżenia, to przede wszystkim przeciw zbytniej niekiedy, nawet jak na felietono-reportaż, szkicowości i efemeryczności postaci, zwłaszcza w scenach „grupowych", masowych. A przecież kilku spośród bohaterów książeczki ma wyraźne zadatki na pozytywnych bohaterów: Zosia Wilkówna, Elżunia Dembowska, Kalita, Olchowski... Zbyt mało o nich wiemy, zbyt są jeszcze dla nas tajemniczy, abyśmy się mogli do nich przekonać jak do „prawdziwych" postaci literackich. Ich pogłębienie i ożywienie dałoby się dokonać bez przekraczania granicy zastosowanych w tomiku środków kreślenia postaci, dałoby się dokonać szerszym wykorzystaniem ich intelektualnego toku dyskursywnego. Drugie zastrzeżenie dotyczy pewnych niebezpieczeństw manieryzmu stylistycznego, które często zagrażają tomikowi w postaci zdań o niefortunnym, skondensowanym patosie („Mówiłem o wystąpieniu Koreanki. Wzruszyłem humanistę. Kalita zamyślił się głęboko" — str. 46; „sprawą ludzką i piękną" nazywa autor konkretny przejaw przełomu w świadomości ludzi w scenie o wartkim toku i żywej dynamice na str. 22 itp.).

Książka Otwinowskiego, wydana po dłuższym milczeniu tego pisarza, jest więc świadectwem dojrzewania i krystalizowania się politycznego i artystycznego jego pisarstwa. Jest również cennym doświadczeniem pisarskim dla naszej literatury w chwili odrodzenia akcji wyjazdów pisarzy w teren, w chwili wzmożonej walki o stworzenie pełnego artystycznego obrazu naszych dni.

Wacław Sadkowski

JERZY SKÓRNICKI

Z przeszłości ziemi czeskiej

Franciszek Kubka. Uśmiech rycerza Paleczka. Z języka czeskiego przetłumaczył **Andrzej Sieczkowski.** Czytelnik, 1951. Str. 276 + 1.

Opowieść o rycerzu Paleczku należy do tych trudnych przedsięwzięć pisarstwa historycznego, w których pisarz musi czerpać jednocześnie z kilku bardzo nierównomiernych źródeł: z lakonicznego przekazu zapisków metrykalnych, z bogatej wiedzy o rzeczywistości epoki i z pogmatwanego oraz udziwnionego fantazją brzmienia, narastającej przez wiele pokoleń, legendy narodowej. Olbrzymią rolę w takiej sytuacji musi odegrać moment samodzielnej interpretacji pisarskiej — własny twórczy wkład autora w konstrukcję przedstawianych wydarzeń. Tego rodzaju zamierzenie literackie poddaje szczególnie ostrej próbie ideowe i artystyczne wyrobienie pisarza.

Franciszek Kubka, rysując postać rycerza Paleczka, miał do wyzyskania rzeczywiście skąpe dane faktyczne, dotyczące losów swego bohatera. Jan Paleczek ze Straży żył natomiast w niezwykle bujnej i ciekawej epoce kiedy to w kraju czeskim, po bogatym w doniosłe skutki okresie walk husyckich, zaczął zakwitać nowy prąd ideologiczny: czeski renesans.

W połowie XV wieku na grunt przeorany przybraną w religijne szaty rewolucją społeczną i narodową miejskiego plebsu, chłopstwa i karłowatej szlachty — „rycerzy i włodyków", zaczęły padać nowe myśli. Ich linia główna pogłębiała zasadniczy nurt walk poprzedzającego okresu, a jednocześnie była tym bardziej czysta, że usiłowała wyzwolić się z powijaków teologicznego myślenia, że szukała nowych, pozadogmatycznych uzasadnień filozoficznych. Czynnikiem hamującym pełny rozkwit tych renesansowych idei był jednakże fakt, że po pierwszym okresie nader radykalnych walk taboryckich — hegemonem ruchów społecznych została średnia szlachta czeska — postępowy, ale ograniczony w swej postępowości przewodnik rozwoju społecznego. Ostry, antyfeudalny ruch zdążył się zwolna przeobrazić w walkę wewnątrzklasową, toczoną przez bardziej żywotny odłam szlachty z możnowładztwem czeskim. Był to jednak i w tych rozmiarach ruch dla narodu czeskiego twórczy, pełen optymizmu i dużej wiary, ponieważ współcześni rycerza Paleczka nie mogli znać złudzeń swojej epoki.

Jan Paleczek ze Straży był jednym z pierwszych ludzi renesansu w Czechach. Nie pozostawił po sobie ani dużych dzieł filozoficznych, ani też bogatej twórczości artystycznej, ale historia i podanie stwierdzają jego udział we wszystkich zasadniczych sprawach epoki. Jan Paleczek był według zapisu kronik trefnisiem króla Jerzego z Podiebradu. Żarliwa walka o prawdę życia, walka o podniesienie godności narodowej i ustawiczne opowiadanie się po stronie uciskanych uczyniły zeń na tle epoki postać symbolizującą sumienie społeczne i narodowe ówczesnego królestwa czeskiego. Tłumacz powieści Franciszka Kubki słusznie wydobywa w ramach analogii postać polskiego Stańczyka — trefnisia nadwornego naszego Zygmunta Starego. Życie i działalność rycerza Paleczka spowiły bogate i barwne legendy ludowe, podnoszące famę jego czynów do ponadrealnych rozmiarów.

Jak wykorzystuje te trzy złoża materiałowe Franciszek Kubka, pisząc swą opowieść o młodości Jana Paleczka? W odpowiedzi na to pytanie kryje się zarazem i ocena jego dzieła. Książka ta bezsprzecznie daje bogaty obraz wczesnorenesansowej epoki w Czechach. Lata dzieciństwa Jana Paleczka i okres jego pobytu w szkole w Prachaticach pozwoliły pisarzowi przedstawić w szeregu barwnych obrazów życie zamków średnioszlacheckich i na poły jeszcze średniowiecznych miast czeskich. Wędrówka Jana Paleczka w poszukiwaniu wiedzy do Włoch i sam pobyt w ziemi italskiej przenoszą nas w klimat nowych myśli i idei. Obrazy Padwy, Wenecji, sylwetka wolnomyślnego kanonika padewskiego Niccola Malvezzi wprowadzają nas w świat renesansu. W wędrówce po miastach południowo - niemieckich i po ziemi włoskiej Jan Paleczek i jego współtowarzysz z dumą obnoszą swą przynależność do narodu czeskiego, wsławionego potężnymi walkami taborytów.

Powrót Paleczka do kraju i jego dalsze czyny wskazują już w jaki sposób, jakimi drogami ziemia czeska przejmuje i przetwarza — w oparciu o własną specyficzną sytuację społeczną — nową renesansową ideologię. Podstawowy konflikt utworu — historia gorącej, średniowiecznej miłości Jana Paleczka i jego rówieśnicy - siostry, z drugiego małżeństwa matki — odsłania swym dramatycznym przebiegiem potężne starcie średnich mas szlacheckich z czeskimi magnatami. Bogusław z Ryżemberku, prawowity mąż Blanki, i ciemna warcholska postać pana Rożemberskiego, która groźnym cieniem zawisła nad zamkiem ze Straży i twierdzą w Wierzbicy — reprezentują czyny i moralność wielkich feudałów. W zetknięciu z panem Rożemberskim i panem Ryżemberskim stracił Jan Paleczek uśmiech swej młodości.

Wątpliwości poczynają się jednak rodzić, gdy przyjdzie zastanowić się nad sposobem przejęcia i wykorzystania wątku legendowego. Franciszek Kubka dokonał ryzykownej syntezy wiedzy rzeczywistej o epoce i motywów legendarno - baśniowych. Udziwnienie dzieciństwa Jana Paleczka wziął autor z baśni osnutych wokół postaci rycerza. Tego typu heroizacja, polegająca na przypisywaniu bohaterowi czynów wykraczających poza wymiary ludzkich możliwości, należy do nader częstych chwytów poetyki baśniowej. I ta właśnie fantastyka baśniowego życiorysu sąsiaduje w książce Kubki w sposób zupełnie nieodgraniczony od faktów realnych, mieszając się z nimi i przeplatając. Przydaje to książce lekkości i literackiego smaku, ale jednocześnie decyduje o tym, że w ten sposób powstało dzieło literacko niejednorodne: „Uśmiech rycerza Paleczki" nie jest ani stylizowaną legendą, ani też konsekwentnie realistyczną powieścią o przeszłości.

W literackim wstępie do książki znalazła się następująca argumentacja: ...„nad Europą Środkową świta pierwszy brzask Renesansu. Stąd też w powieści Kubki owa czysto średniowieczna atmosfera dziwów i czarów otaczająca postać młodego Paleczka". Argumentacja ta nie uchyla sformułowanego powyżej sądu. W konstrukcji powieści realistycznej jest miejsce na odtworzenie średniowiecznej atmosfery dziwów i czarów otaczającej postać Paleczka, ale nie może ona występować jako czynnik charakteryzujący postać powieściową na równi z wyinterpretowaną wiedzą o epoce, jest bowiem niczym innym, jak tylko komentarzem, który zbudowała dla swego bohatera zamierzchła epoka.

Nie przytępiając w niczym podanych sugestii krytycznych, trzeba jak najwyraźniej stwierdzić, że książka Franciszka Kubki jest ciekawą, pouczającą, świetnym językiem napisaną lekturą o feudalnej przeszłości Czechosłowacji.

Jerzy Skórnicki.

„Dziennik" Jana Szembeka (VII)

„DYNAMIZM" HITLEROWCÓW

23 luty 1938. Rozmowa z Moltkem u Becka (w czasie kolacji wydanej na cześć Goeringa).

Zapytałem ambasadora, jak wyobraża sobie dalszy bieg wypadków w Austrii. Odpowiedział, że słowa Goeringa wyjaśniają całkowicie cele polityki niemieckiej w tym kraju.

Jeśli Schuschnigg spróbuje się opierać, będzie musiał odejść. Partia narodowo-socjalistyczna zadziwia swoją żywotnością i dynamizmem. Należy się więc spodziewać, że w Austrii zdarzy się to, co nastąpiło w Niemczech w r. 1933.

W GDAŃSKU — ANI CIENIA KONFLIKTU

8 marzec 1938. Rozmowa z Noelem.

Rząd francuski polecił swemu ambasadorowi interweniować wobec naszego rządu w pilnej sprawie; Noel zwraca się do mnie, ponieważ nie wie, kiedy Beck wróci z Rzymu. Sytuacja w Europie jest poważna. Rząd francuski stwierdza raz jeszcze, że istnieją rozbieżności między jego polityką, a naszą postawą. Noel nie będzie tu mówił o wyjeździe Becka do Rzymu, zdajemy sobie bowiem sprawę, jak niewłaściwa wydaje się ta wizyta Francuzom w obecnym stanie stosunków włosko-francuskich.

W tej chwili najważniejsza jest jednak sprawa Austrii. Francja zna opinię Becka na ten temat, minister jej nie ukrywa. Beck sądzi, że Austria jest skończona i że Anschluss jest koniecznością. Rząd francuski jest przeciwnego zdania, i utrzymanie niepodległości Austrii jest jedną z zasad jego polityki. Jest to zagadnienie zasadnicze jeśli idzie o równowagę europejską.

Odpowiadam, że nie ma żadnego powodu, by przypuszczać, że nastąpi włączenie Austrii do Niemiec. Umowa z dn. 11 lipca 1936, gwarantująca niepodległość tego kraju, obowiązuje wciąż i nie była wypowiedziana przez Niemcy.

Jeśli zaś idzie o analogię postępowania Niemców w stosunku do Austrii i do Gdańska (na co ambasador zwrócił mimochodem uwagę), muszę podkreślić, że na odcinku Gdańska nie mamy najmniejszego nawet konfliktu z rządem Rzeszy. Przeciwnie, nasze stosunki z Wolnym Miastem zdecydowanie się polepszyły od chwili dojścia Hitlera do władzy.

BECK „UKRYWA SIĘ" W DNIU ANSCHLUSSU

11 marzec 1938. Rozmowa z Gawrońskim (telefonicznie).

Gawroński zawiadamia mnie, że w Wiedniu przygotowują się poważne wypadki. Panuje wielkie podniecenie. Papen wyjechał rano do Berlina. Niemcy przedstawili Austrii ultimatum, którego termin upływa dziś o 7 wieczorem, z żądaniem ustąpienia Schuschnigga i odroczenia plebiscytu. Jest już pewne, że obydwa te życzenia będą spełnione. Istnieje obawa rozruchów ulicznych, podobno niektóre roczniki zostały zmobilizowane.

Rozmowa z Kunickim (dyrektor departamentu spraw niemieckich w MSZ). Informuje mnie, że konsul Jeleński dzwonił z Monachium, że w Bawarii widzi się wielkie przygotowania wojskowe.

Rozmowa z Gawrońskim (przez telefon, wieczorem). Zawiadamia, że ultimatum niemieckie zostało przyjęte przez Austrię. Schuschnigg podał się do dymisji. Rada ministrów obraduje bez przerwy.

Rozmowa z Lipskim (przez telefon, wieczorem). Otrzymał on właśnie tekst pożegnalnej deklaracji Schuschnigga, kończącej się sło-

SAMUEL SANDLER

Literatura polska okresu imperializmu

I

Posiadamy już zarysy literatury staropolskiej, Oświecenia, oraz okresu imperializmu. Dalsze dwa zarysy: literatury okresu romantyzmu oraz pozytywizmu i realizmu krytycznego wchodzą obecnie pod prasę drukarską. Zarysy, które otrzymaliśmy i otrzymamy, wymagać będą na pewno jeszcze niejednej istotnej korektury, niejednej zmiany. Uwzględniając obecny stan badań i brak sprawdzianu praktyki szkolnej jest to stwierdzenie zupełnie naturalne. Oczywiste jest także, że wydane już zarysy wymagają wszechstronnej uwagi, dyskusji i krytyki. Mają one spełnić przecież ogromnie odpowiedzialne zadanie: kształtować wiedzę młodzieży i nie tylko młodzieży o naszej literaturze. Wadze odpowiedzialności muszą być współmierne i stawiane im wymagania, te ostatnie zaś muszą oscylować między możliwościami, których autorom zarysów dostarcza aktualny stan badań (to wcale jeszcze, mimo wszystko, nie znaczy rozgrzeszać), a wspomnianymi już zadaniami, których wagą naprawdę niesposób przecenić.

Wychodząc z tych przesłanek chciałbym zająć się dwoma zarysami literatury polskiej przeznaczonymi dla klasy XI, zarysami obejmującymi dzieje naszej literatury od około 1890 do około 1950 roku*). Zarysy Jakubowskiego i Korzeniewskiej obejmują literaturę polską epoki imperializmu, przy czym książka Korzeniewskiej obejmuje i pierwsze pięciolecie powojenne.

Autorzy dają zarys literatury okresu schyłku kultury burżuazyjnej, okresu niewątpliwego zanikania elementów postępowych w sztuce burżuazyjnej, okresu mniej czy więcej otwartego odwrotu od realizmu w literaturze mieszczańskiej. Już takie sformułowanie poddaje zasadniczemu przewartościowaniu poglądy tradycyjnej historiografii i krytyki na twórczość literacką tego okresu. Ta historiografia i krytyka traktowała właśnie współczesną sobie literaturę schyłkową ze szczególnym nabożeństwem. Wystarczy przypomnieć oceny Feldmana zawarte w jego „Współczesnej literaturze polskiej", która doczekała się ośmiu wydań (ostatnie z uzupełnieniem Kołaczkowskiego obejmującym literaturę do roku 1930). Oceny Feldmana i ogromnej większości badaczy literatury polskiej okresu imperializmu, nie wyłączając w tym i materiałowego kompendium Czachowskiego („Obraz współczesnej literatury polskiej"), wyjątkowo wypaczały rzeczywistą o niej prawdę. Wobec żadnej innej epoki literatury nie wypowiedziano tylu fałszów, błędnych sądów i pospolitych łgarstw. To jedno. Po wtóre autorzy zarysu musieli przeprowadzić nie tylko jak najbardziej zasadniczą rewizję dotychczasowych sądów, ale zgodnie z marksistowskimi dyrektywami badawczymi ukazać dotąd zupełnie przemilczany nurt rewolucyjny i jego przejawy w literaturze, musieli orientować się na to „co powstaje i rozwija się", co „nawet wydaje się w danej chwili nietrwałe", ale co jest w istocie najważniejsze. I uprzedzając dalsze wywody trzeba powiedzieć, że autorzy wywiązali się ze swego zadania. Ich zarysy przynoszą istotne, na ogół słuszne przewartościowanie zjawisk literackich okresu, trafnie wydobywają elementy nurtu rewolucyjnego, w słusznym kierunku zmierzają ich wywody o oddziaływaniu walki wyzwoleńczej proletariatu na oblicze literatury: i na to co w niej najbardziej postępowe, i na to co najbardziej wsteczne, zrodzone z nienawiści do proletariatu i mas ludowych oraz z przerażenia przed ich nieubłaganą walką.

To jest najistotniejsze w obu częściach zarysu i to stanowi o ich wartości, mimo tych czy owych braków, od których nie są wolne.

II

Omawiana tu część zarysu Jakubowskiego ukazuje się już w drugim wydaniu, bardzo istotnie różniącym się od pierwszego. Wydanie obecne jest rezultatem licznych dyskusji naukowych i dydaktycznych, uwzględnia postępy badań nad twórczością niektórych pisarzy (Żeromski, Wyspiański, Reymont, Nałkowska, Dygasiński). Filtr drugiej redakcji sprawia, że część zarysu Jakubowskiego przedstawia się korzystniej niż następna. Jest niewątpliwie bardziej precyzyjna w sformułowaniach, mniej tu wreszcie ogólników. Bardziej przejrzysty jest również układ materiału.

Wychodząc, podobnie jak Korzeniewska, z charakterystyki tendencji ideologicznych nurtujących poszczególne klasy i warstwy społeczeństwa, ukazując ich związek z podstawowym konfliktem epoki imperializmu — walką między klasą robotniczą a burżuazją, Jakubowski zarysowuje główne tendencje rozwoju literatury burżuazyjnej znajdujące swoje antyrealistyczne ujście przede wszystkim w naturalizmie i symbolizmie.

Dwa szczególnie rozdziały świadczą o nowatorstwie zarysu Jakubowskiego: „Wśród prądów epoki" i „Drogi realizmu". I może nie od rzeczy będzie wspomnieć, że właśnie ta partia książki budziła najistotniejsze zastrzeżenia w poprzednim wydaniu. W pierwszym rozdziale otrzymujemy plastyczny obraz walk ideologicznych w Polsce na przełomie wieków. Słusznie uwydatniono rolę Krzywickiego i Nałkowskiego, których najlepsza część twórczości publicystycznej wyrasta ze związku z klasą robotniczą lub z solidarności z jej walką wyzwoleńczą. Słusznie określony został także początkowy etap działalności Witkiewicza i Sygietyńskiego, w której znalazł wyraz, przynajmniej cząstkowy, protest przeciwko poniżającej roli artysty — twórcy kultury w społeczeństwie kapitalistycznym oraz (niepozbawiona ograniczeń i zaciemnień) walka o realistyczną sztukę.

Przeciwstawienie dekadenckiej estetyce i praktyce artystycznej pisarzy burżuazyjnych—postulatów estetycznych ideologów i przywódców proletariatu polskiego oraz pisarzy, solidaryzujących się z jego walką, należą do najlepszych partii „Zarysu". Trafnie ukazuje również autor wpływ rewolucji 1905 roku na ewolucję wielu pisarzy burżuazyjnych, jak również fałszywy i zakłamany obraz rewolucji kreślony przez pisarzy związanych z nacjonalistyczno-reformistyczną PPS. Rozdział „Drogi realizmu" przedstawiający twórczość Dygasińskiego. Zapolskiej i Orkana ukazuje dramatyczne ścieranie się w obrębie twórczości tego samego pisarza tendencji realistycznych i antyrealistycznych, naporu uczciwej obserwacji z mitami schyłkowego okresu sztuki burżuazyjnej, prawdy życia z metafizycznymi teoriami, nacisku burżuazyjnej ideologii z doświadczeniami rzeczywistości. W tym obrębie „działy się" właśnie niekiedy rzeczywiste dramaty pisarzy i tragiczne klęski.

Zbyt chyba pobieżnie potraktował Jakubowski twórczość Wyspiańskiego. Więcej tu ogólników, mało uargumentowanych sądów. A gdy autor jako ilustrację oburzenia i pogardy Wyspiańskiego dla mieszczańskiej moralności podaje wiersz (nazwany nb. **przejmującym lirykiem)** „Niech nikt nad grobem mi nie płacze", wiersz z pogranicza histerii, artystowskiej pogardy dla ludzi oraz metafizycznego wieszczbiarstwa, obawiamy się, że jesteśmy w kręgu niesławnej „legendy Wyspiańskiego".

W odróżnieniu od tradycyjnego literaturoznawstwa, które dopatrywało się w poezji młodopolskiej szczytowych osiągnięć w dziejach poezji narodowej, Jakubowski wskazuje, jak mało w niej rzeczy trwałych, jak ubogie były jej treści i wartości artystyczne, jak mało było w niej twórczych pierwiastków. Nie oznacza to naturalnie, aby przed osądem współczesnego badacza nie ostały się te odosobnione wyjątki, które nie noszą na sobie piętna rozkładu burżuazji i upadku kultury. Żywa i trwała pozostała twórczość młodego Kasprowicza, wiele pozostało żywotnego w dorobku poetyckim Staffa. Bardzo celowe okazało się umieszczenie rozdziału o twórczości Żeromskiego do wybuchu pierwszej wojny światowej dopiero na końcu książki. W ten sposób twórczość tego największego pisarza okresu uzyskała bardzo wyraziste tło. W kontekście walk i przemian społecznych tej epoki, w kontekście dramatycznej walki starego i nowego w życiu społecznym i kulturze ukazana została pozycja Żeromskiego, o którym słusznie pisze Jakubowski: „U żadnego z pisarzy tego okresu nie znajdujemy tak **prawdziwego odzwierciedlenia życia mas ludowych żyjących pod kapitalistyczną przemocą.** Dlatego właśnie Żeromski, on jeden w literaturze omawianego okresu, ma prawo do tytułu wielkiego pisarza narodowego" (str. 110). To uznanie w Żeromskim pisarza największej miary nie sprawiło naturalnie, aby autor przesłaniał sprzeczności zawarte w dorobku tego pisarza. Ale równocześnie nie tylko wzgląd dydaktyczny, lecz i zdrowa zasada orientowania się na to co w twórczości pisarza jest żywe, trwałe, sprawia o rozmieszczeniu akcentów. Trzeba stwierdzić, że to kryterium najbardziej ugodziło w poezję młodopolską, ale nie ominęło ono również i wielu zjawisk i postaci literackich prozy. Niepokojący fakt, że w żadnej z części „Zarysu" nie znalazło się miejsce dla twórczości Berenta, zwłaszcza Berenta — autora realistycznego o ludziach Oświecenia, trzeba już położyć na karb niedopatrzenia autorów „Zarysu".

III

Największą zapewne zaletą części „Zarysu" opracowanego przez Korzeniewską przy współudziale A. Wasilewskiego (rozdział „Poeci antyfaszystowscy" oraz partie poświęcone twórczości Władysława Broniewskiego) jest ukazanie zasadniczych nurtów literatury dwudziestolecia. Literaturze antyrealistycznej (zbyt zresztą szufladkowo zamkniętej w ramach naturalizmu i formalizmu) autorka przeciwstawia zawikłaną ewolucję twórczości realistycznej pisarzy mniej czy więcej związanych z ideologią burżuazji oraz literaturą realistyczną wyrosłą z bezpośredniej więzi pisarzy z walką klasy robotniczej i mas ludowych. Bardzo słusznie wzmożenie tendencji realistycznych nawet u pisarzy ulegających naciskowi burżuazyjnej ideologii autorka wiąże z faktami wznoszenia się fali walk rewolucyjnych. Szczególnie jasno świadczy o tym powstanie najwybitniejszej powieści Żeromskiego oraz całego dwudziestolecia — „Przedwiośnia", następnie twórczość Nałkowskiej („Romans Teresy Hennert", „Granica").

Ważnym osiągnięciem „Zarysu" jest odrzucenie tradycyjnych podziałów poezji dwudziestolecia według przynależności do określonych grup (np. „skamandryci", „awangarda" itp.). Nie jest to tylko zabieg dydaktyczny. Skoro uznajemy prymat treści ideowych nad środkami artystycznego wyrazu, nie można poddawać się sugestiom programów i polemik o środki artystyczne, mimo ich donośnego nieraz echa, mimo że nieraz przesłaniały właściwe pojmowanie istotnych podziałów ideowych przebiegających w literaturze. „Znaczy to — pisze Wasilewski — że nie w programowych sformułowaniach i nie w grupowej przynależności poetów, lecz w samej ich twórczości należy szukać istotnych i decydujących podziałów ideowych". (str. 29). Aprobując w zupełności przyjęte przez autora kryterium trudno jednak się zgodzić, w części przynajmniej, ze sposobem przedstawienia problematyki. Za rację tej „niezgody" niech starczy fakt umieszczenia na jednej płaszczyźnie ideowej twórczości Tuwima i Słonimskiego z jednej strony, a z drugiej Staffa. Właściwość „Zarysu", jego przesłanki metodologiczne i dydaktyczne sprawiają, że otrzymujemy skondensowany obraz osiągnięć literatury dwudziestolecia, obraz najbardziej żywotnych i trwałych w niej pierwiastków. To stanowi, że w swoistym świetle, jakie rzuca na literaturę tego okresu „Zarys", jej obraz wydaje nam się tak rzeczywiście nowy, czasem — szczerze mówiąc — niespodziewany. Gdy np. w rozdziale „Pisarze realizmu krytycznego" (tytuł metodologicznie raczej nietrafny) obok analizy twórczości Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Boguszewskiej i Gojawiczyńskiej napotykamy fragment poświęcony „Pamiętnikom bezrobotnych" i „Pamiętnikom chłopów", jesteśmy nieco zaskoczeni. nie podobna przecież nie uznać racji takiego zestawienia po zapoznaniu się z argumentami autorki. która podkreślając poznawcze i literackie walory tych oryginalnych dokumentów epoki pisze: „Prostota i szczerość pamiętnikarzy, prawdziwy talent pisarski wielu z nich i umiejętność uogólniania swych losów jako dziejów typowych pozwalają czytać te książki z niemniejszym zainteresowaniem niż utwory literackie tego okresu" (str. 60). Słuszne i śmiałe włączenie wyżej wspomnianych książek do dorobku literackiego dwudziestolecia zwraca uwagę na występujący gdzie indziej niedostatek „Zarysu". Autorka dając w wydzielonym artykule przegląd twórczości Boya („Krytyka polska w walce o postęp") przedstawia równocześnie działalność krytyczną Ignacego Fika oraz działalność postępowych czasopism z okresu tworzenia się frontu Ludowego. Nie wydaje mi się to słuszne, skoro autorka zdecydowała się na słuszny krok przedstawienia w odrębnym rozdziale („Literatura nurtu rewolucyjnego") zarówno twórczości poetów jak i prozaików związanych z ruchem robotniczym i radykalnym ruchem chłopskim. W tym rozdziale jest właśnie miejsce na charakterystykę postępowych czasopism związanych z klasą robotniczą („Sygnały", „Poprostu", „Oblicze dnia"), tu jest miejsce dla charakterystyki Fika, tu wreszcie powinno było znaleźć się miejsce dla niewspomnianego nawet Bruna - Bronowicza. Postulat ten ma szersze znaczenie. „Nacisk ruchu rewolucyjnego — jak słusznie pisze Korzeniewska — kształtował także literaturę burżuazyjną, która w okresie narastającego faszyzmu przechodziła wyraźną ewolucję" (72). W imię uargumentowania tych słusznych twierdzeń — działalność ideową i artystyczną pisarzy związanych z rewolucyjną lewicą trzeba było skupić (wyrażając się obrazowo), ukazać ją jako przejaw aktywności rewolucyjnej proletariatu określającej dalszy rozwój losów narodu i kultury. Wracając do Boya, nie wydaje mi się, aby było słuszną rzeczą poprzestać na stwierdzeniu, że „ostatnim, jakże znamiennym czynem jego życia było objęcie katedry na Uniwersytecie Lwowskim, które stanowiło świadome wkroczenie na drogę współpracy z władzami radzieckimi" (s. 61). Sądzę, że nie mniej znamiennymi czynami Boya były jego ostatnie prace o Mickiewiczu i Balzaku świadczące o ideowym, żarliwym wkraczaniu tego wielkiego humanisty mieszczańskiego na drogę solidarności z rewolucją proletariacką, na drogę socjalizmu.

Mimo tych niedostatków w ukazaniu bardziej plastycznego obrazu nurtu rewolucyjnego w literaturze polskiej okresu dwudziestolecia, partie książki poświęcone tej problematyce należą niewątpliwie do najbardziej cennych i nowatorskich. Trafnie ukazano prekursorski charakter poezji Broniewskiego oraz twórczości Wasilewskiej, Kruczkowskiego i Kowalskiego. W analizie dorobku przedwojennego Broniewskiego wykazano również jego nowatorstwo artystyczne zespolone z nowatorstwem ideowym, ostro odcinające się od pustego eksperymentatorstwa formalistycznego maskującego się pozorami postępowości.

Wreszcie trzeba zgłosić najistotniejsze zastrzeżenia**). Dotyczą one rozdziału poświęconego literaturze Polski Ludowej.

Jest rzeczą dobrze wiadomą, a nawet podkreśloną dobitnie przez autorkę drugiej części „Zarysu", jak wielkie znaczenie ma literatura współczesna „w dziedzinie wychowania nowego człowieka i kształtowania jego ideologii" (cytuję Korzeniewską). Na gruncie truistycznej diagnozy trzeba, moim zdaniem, zasadniczo zakwestionować partię „Zarysu", poświęconą literaturze polskiej pierwszego pięciolecia powojennego, ze względu na ogólnikowość i marginesowe traktowanie zjawisk literackich. Podnosiłem walory „Zarysu" w orientowaniu się w naszym dziedzictwie literackim na to, co nowe, żywe, rozwijające się. Czy można się więc zgodzić na zbycie kilkoma słowami takiej pozycji, jaką stanowi „Stare i nowe" Rudnickiego, czy nowej, socjalistycznej w treści poezji? Czy wolno kilkoma recenzenckimi zwrotami „przejechać się" po naszej powojennej literaturze? .

Sądzę, że rozdział poświęcony literaturze Polski Ludowej opracowany został błędnie. Że nie doceniono jej osiągnięć, a zadania zbyto deklaracją, za którą nie stoi żadna praktyczna praca naukowo - wychowawcza. To trzeba będzie gruntownie zmienić. Zdaje się, że z perspektywy dnia dzisiejszego dojrzał do realizacji postulat opracowania zarysu polskiej literatury współczesnej.

IV

Starałem się scharakteryzować pierwszy zarys literatury polskiej okresu imperializmu opracowany dla szkoły na gruncie marksistowskiej nauki. Wskazywałem na pozytywne na ogół rezultaty, osiągnięte przez autorów. Wskazywałem na słuszność obranej drogi i dodatnie wyniki. Próbowałem także zaznaczyć widoczne dla mnie braki.

Nie sądzę aby można było na tym poprzestać. Szkoła i nie tylko szkoła czeka na dobre podręczniki historii literatury polskiej. Ukazujące się obecnie zarysy nie spełniają z wielu względów roli podręczników. Są one ku nim pierwszym krokiem. Aby uczynić kroki dalsze, obecne zarysy wymagają jeszcze gruntownej dyskusji prowadzonej zarówno pod kątem oceny słuszności sądów historyczno - literackich, jak i z punktu widzenia zadań dydaktyczno - wychowawczych. Ku takiej dyskusji należy dążyć. Jej społeczne korzyści są dostatecznie oczywiste.

Samuel Sandler

*) Jan Zygmunt Jakubowski: Zarys literatury polskiej dla klasy XI. Cz. I 1861—1918 wydanie drugie PZWS 1952.
Ewa Korzeniewska: Zarys literatury polskiej dla klasy XI. Cz. II 1918—1950. Opracowano przy współpracy A. Wasilewskiego. PZWS 1952.

** Pragnę tylko marginesowo zaznaczyć, że jednym z niedostatków „Zarysu", przede wszystkim jego części drugiej jest spora liczba niejasnych i sloganowych sformułowań, sporo usterek stylistycznych tautologii. W książce przeznaczonej dla młodzieży jest to szczególnie dotkliwe niedopatrzenie. Dla przykładu przytaczam — Korzeniewską: KPP przygotowuje organizację ludowego frontu antyfaszystowskiego „**zagarniając pod wpływ swej ideologii** szerokie masy narodu" (s. 10). „**Przejmowanie** przez pisarzy ideologii rewolucyjnej" (s. 113)
Wasilewski: „**rósł pociąg** poety do socjalistycznej kultury narodów radzieckich" (s. 34). „**Utwierdziwszy w zamachu majowym** faszystowską władzę burżuazja..." (s. 78).

---

wami: „Niech Bóg ma Austrię w swej opiece".

Rozmowa z Wysockim (przez telefon, z Rzymu). Oświadcza mi, że będę się mógł porozumieć z Beckiem dopiero jutro o 5-ej pp., ponieważ *minister udał się do Sorrento.* Proszę ambasadora, by postarał się odnaleźć Becka jeszcze dzisiaj, lub jutro wczesnym rankiem, i żeby mu doradził jak najszybszy powrót, co wskazane jest z ważnych powodów zasadniczych, pomijając już znaczenie psychologiczne.

12 marzec 1938.

Rozmowa z Gawrońskim (telefoniczna, wczesnym rankiem). Zawiadamia mnie, że w Wiedniu panuje porządek. Hess i Himmler przyjechali tu dzisiaj.

Rozmowa z Wysockim (telefoniczna, w południe). Zawiadamia mnie, że *niestety nie udało mu się porozumieć z Beckiem, ponieważ minister wyjechał z Sorrento wczesnym rankiem na wycieczkę.*

POPIERAJĄ ANSCHLUSS JAKO „LEGALNY"

Rozmowa z Kennardem (ambasador Wielkiej Brytanii). Przyszedł dowiedzieć się, jakie są nasze poglądy w związku z wypadkami w Austrii. Odpowiedziałem mu, że jest za wcześnie, by zdać sobie sprawę z położenia. Zresztą *wypadki te nie stanowią dla nas niespodzianki.* Naszym zdaniem Anschluss jest wewnętrzną sprawą austriacką.

Rozmowa z Moltkem. Oświadczył, że celem jego rozmowy będzie naświetlenie sytuacji powstałej po wypadkach w Austrii. Zastrzegł zresztą, że nie wie jeszcze dokładnie, co się dzieje w Wiedniu, ale z jego dotychczas zebranych informacji wynika, że odpowiedzialność spada na Schuschnigga, ze względu na jego posunięcia i na jego projekt plebiscytu.

Rozmowa z marszałkiem Śmigłym-Rydzem, w obecności premiera Składkowskiego.

Doszliśmy do wniosku, że Polska nie ma żadnego interesu, by występować przeciwko Anschlussowi, który właśnie się odbywa. Nowy rząd austriacki mianowany został legalnie. Gawroński (poseł w Wiedniu) powinien porozumieć się z rządem i nie może się zabawiać w obronę dawnego reżimu (ne peut s'amuser à défendre l'ancien régime).

„LITWINI BOJĄ SIĘ POLSKI, I MAJĄ RACJĘ"

16 marzec 1938. Rozmowa z Noelem.

Mówię, że domyślam się, jaki jest cel jego wizyty. Otrzymał od swego rządu polecenie interwencji. Podobnej interwencji dokonał już dzisiaj ambasador Wielkiej Brytanii, Kennard, rządy francuski i angielski mają zgodny pogląd na tę sprawę. Przedstawiciele Litwy zgłosili się na Quai d'Orsay i w Foreign Office. Z ich oświadczenia wynika, że w Kownie panuje wielki niepokój. Boją się.

JA. *I mają rację.*

NOEL. Są gotowi podjąć rozmowy pojednawcze. 14 marca zaproponowali spotkanie celem rozpatrzenia incydentu i powzięcia środków, uniemożliwiających na przyszłość nieporozumienia.

JA. Pragną więc załatwić sprawę tak, jak się ją reguluje między dwoma krajami mającymi normalne stosunki dyplomatyczne. Otóż między Polską i Litwą nie ma tych stosunków, i dlatego propozycje litewskie wydają mi się niewystarczające.

Noel pyta mnie czy mamy dokładne wiadomości o propozycjach Litwy. Odpowiadam, że „dochodzą nas rozmaite plotki na ten temat".

NOEL. Widzi więc pan, że moja interwencja pokrywa się z wystąpieniem sir Howarda.

JA. Odpowiadam, że właśnie od niego dowiedziałem się o zabiegach ministrów litewskich wobec rządu francuskiego i angielskiego.

NOEL. Podkreśla, że nie był upoważniony, by mi to wyjawić. Zrobił to, bo chciał mnie poinformować o całości sprawy. Rząd francuski spodziewa się, że nie użyjemy siły wobec Litwy, co byłoby „szczególnie niewłaściwe" ze względu na Anschluss.

MOLTKE GRATULUJE SZEMBEKOWI SUKCESÓW NA LITWIE

19 marzec 1938. Rozmowa z Moltkem (telefoniczna).

Powiedziałem mu, że zgodnie z poleceniem Becka, chciałem poinformować ambasadora Niemiec, że Litwa przyjęła nasze ultimatum. W imieniu ministra podziękowałem Moltkemu za postawę rządu niemieckiego w trakcie sporu polsko-litewskiego. Dodałem, że Beck prosi, by zawiadomić o tym Ribbentropa. Moltke podziękował mi za tę deklarację, i złożył gratulacje z powodu świetnego rozwiązania przez nas całej sprawy (brillant dénouement de l'affaire).

PROWADZIMY WSPANIAŁĄ POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ

29 marzec 1938. Rozmowa z b. premierem Kozłowskim.

Jego zdaniem, polityka zagraniczna Polski jest najbardziej olśniewającym sektorem naszego rządu. Prowadzona jest według wskazań marszałka Piłsudskiego. Sądzi natomiast, że nasza sytuacja wewnętrzna jest wręcz groźna. W rządzie panuje „bałagan", każdy minister prowadzi politykę prywatną, jaka mu się podoba. Naród jest zgodny w swoim negatywnym stosunku wobec rządu. natomiast na próżno byłoby szukać podobnej jednomyślności na temat jakiegokolwiek programu pozytywnego.

GRZECZNY FORSTER

11 maj. 1938. Rozmowa z Beckiem.

Beck mówi o spotkaniu z Forsterem, który w tonacji jak najbardziej konfidencjonalnej podjął sprawę zmiany sztandaru Gdańska (gdzie dodano swastykę do herbu miasta — przyp. nasz). Usiłował wyjaśnić, że zmiana ta nie ma żadnego ukrytego znaczenia antypolskiego. Beck odpowiedział, że osobiście jest przeświadczony, że przekształcenie flagi nie było wymierzone w Polskę, ale że nie łatwo będzie o tym przekonać 33 miliony Polaków. Na koniec Forster oświadczył, że nic w tej dziedzinie nie przedsięweźmie bez naszej zgody.

SPRAWA CZESKA: BECK ZNOWU NIEOBECNY

21 maj 1938. Rozmowa z Kobylańskim. Informuje mnie o poważnych zajściach w Sudetach, oraz o mobilizacji jednego rocznika w Czechosłowacji. Są to wiadomości pewne. Krążą plotki, że Niemcy skierowali ultimatum do Pragi.

22 maj 1938. Rozmowa z Beckiem (w obecności Lubieńskiego i Kobylańskiego). Otrzymaliśmy telefoniczną wiadomość z Paryża, że rząd francuski zwrócił się do naszego ambasadora z żądaniem, żeby przedstawiciel Polski w Berlinie dokonał interwencji w związku ze sprawą czeską, podobnie jak zrobił to już ambasador Wielkiej Brytanii. Beck mi polecił, w wypadku, gdyby Noel sformułował podobne życzenie, odpowiedzieć mu, że rząd polski *nie może powziąć tak ważnej decyzji pod nieobecność ministra spraw zagranicznych,* który udał się do Sztokholmu. Gdyby zaś Noel pragnął dowiedzieć się więcej na temat naszej postawy w wypadku gdyby z powodu Czechosłowacji wybuchł konflikt zbrojny, należy mu przypomnieć, że nasz sojusz ma charakter czysto obronny.

ZNÓW: WINA CZECHÓW

24 maj 1938. Rozmowa z Moltkem.

Moltke stwierdza, że jeśli można mówić o odprężeniu w sprawie czeskiej, jest ono pozorne i chwilowe. Czesi nadal się zbroją. Nad granicą niemiecką trwają stałe manewry jednostek wojskowych.

Interwencja angielska w Berlinie skierowana została pod niewłaściwym adresem. Anglia powinna wywrzeć nacisk na Pragę, bo od niej tylko zależy utrzymanie pokoju.

25 maj 1938. Rozmowa ze Slavikiem (minister Czechosłowacji w Warszawie). Stwierdza on, że nastąpiło uspokojenie. Oświadczam mu na to, że z naszej strony nie zauważamy odprężenia, ponieważ Czechosłowacja w dalszym ciągu robi przygotowania wojskowe. Z drugiej strony, według naszych ścisłych informacji, nie było i nie ma żadnej koncentracji armii niemieckiej na granicy.

30 maj 1938. Rozmowa z Beckiem po jego powrocie. Zawiadomiłem go o faktach, jakie się zdarzyły podczas jego nieobecności, w konflikcie niemiecko-czeskim, szczególnie o agresywności ze strony Czechów.

NIE WARTO JUŻ POPIERAĆ (DOTĄD POPIERANYCH) FASZYSTÓW RUMUŃSKICH

27 czerwiec 1938. Rozmowa z Rogerem Raczyńskim (Ambasador Polski w Bukareszcie). Zawiadamia mnie, że w Rumunii stronnictwo „Żelaznej gwardii" zostało kompletnie zlikwidowane; dlatego nie warto już podtrzymywać zwolenników tego ruchu ani udzielać azylu jego działaczom, zbiegłym za granicę.

ZNOWU: WINNI ŻYDZI I MASONI

30 czerwiec 1938. Rozmowa z Librachem (pracownik Ambasady w Paryżu).

Stosunki polsko-francuskie znajdują się w kompletnym impasie. Nasza sytuacja we Francji wygląda tak, że opinia przeświadczona jest, że Polska całkowicie przeszła do obozu niemieckiego.

Zdaniem Libracha, jeżeli Niemcy zaatakują Czechosłowację, Francja zareaguje zbrojnie. Środowiska, które popychają Francję do wojny, to Żydzi, wolnomularze, katolicy, oraz II, III i IV międzynarodówka. Jeśli jednak Hitler będzie postępował ostrożnie i z umiarem, to znaczy jeśli rozwój wypadków w Czechosłowacji nastąpi drogą stopniowych przekształceń wewnętrznych, Francja się nie ruszy.

LOS CZECHOSŁOWACJI ICH NIE WZRUSZA

8 lipiec 1938. Rozmowa z Beckiem. Opowiedział mi swoją rozmowę z Noelem.

Oświadczył ambasadorowi, że sojusz (z *Francją* — przyp. nasz) obowiązuje nas do wspólnego rozpatrywania problemów, jakie mogą się nasunąć, nie do informowania się, jak jedna ze stron ma zamiar się zachować. Dorzucił w trakcie rozmowy, że los państwa czechosłowackiego jest dla nas obojętny (nous laisse froids).

(c. d. nastąpi)

opracował **Zygmunt Kałużyński**

Z życia Z.L.P.

CZWARTKI LITERACKIE WE WROCŁAWIU

Wrocławski Oddział Związku Literatów Polskich rozpoczął sezon Czwartków Literackich wieczorem pt.: „Wrocław we Froncie Narodowym", zorganizowanym w dniu 9.X. b.r. wspólnie z Okręgowym Komitetem Wyborczym Frontu Narodowego nr 44 we Wrocławiu.

Na program Czwartku złożyły się: referat Jana Pierzchały „Wrocław we Froncie Narodowym" oraz dyskusja i wieczór autorski poetów wrocławskich.

Udział wrocławskiego ZLP w działalności Frontu Narodowego dokumentuje również broszura pt.: „Wiersze wrocławskie", wydana w 8000 egzemplarzy przez Okręgowy Komitet Wyborczy Frontu Narodowego nr 44 we Wrocławiu.

Następny Czwartek Literacki w dniu 16.X b.r. wypełniła prelekcja Jana Kotta pt.: „O języku Trembeckiego". Na trzecim Czwartku, 23.X. b.r., Czesław Ostankowicz odczytał fragmenty swej nowej powieści o francuskim ruchu oporu.

Czwartek następny, 30.X. b.r., był swego rodzaju nowością. Ewa Szumańska i Stefan Łoś czytali fragmenty wodewilu pt.: „Tor przeszkód", który wejdzie jeszcze w tym roku na scenę wrocławskiego „Teatru Młodego Widza", a artystka PTD we Wrocławiu, Łucja Burzyńska, odśpiewała kilka piosenek z wodewilu przy akompaniamencie kompozytora Aleksandra Lustiga.

KURS LITERATUROZNAWSTWA WE WROCŁAWSKIM KOLE MŁODYCH

W Kole Młodych Pisarzy przy wrocławskim Oddziale dokonano weryfikacji członków, po czym na walnym zebraniu wybrany został nowy zarząd. Prócz zebrań warsztatowych wprowadzony został systematyczny kurs podstaw literaturoznawstwa, prowadzony przez profesora uniwersytetu. Aktywny udział w kursie jest obowiązkiem organizacyjnym członków Koła. W bieżącym roku członkowie Koła uzyskali 5 nagród na ogólnopolskich konkursach literackich.

DYSKUSJA PISARZY I ROBOTNIKÓW NAD REPORTAŻEM

(Sprawozdanie z posiedzenia sekcji prozy Łódzkiego Oddziału ZLP w dniu 28.X.1952)

Dnia 28.X. odbyło się pierwsze po letniej przerwie zebranie sekcji prozy, poświęcone omówieniu reportażu jako zagadnienia literackiego. Zebranie odbyło się przy udziale przedstawicieli łódzkich robotników. Referował kol. L. Gomolicki. Referent, posługując się przykładami reportaży wydanych w ramach akcji przedwyborczej „Czytelnika", omówił zasadnicze cechy reportażu, jako rodzaju literackiego. Po odczytaniu fragmentów reportaży S. Szmaglewskiej, J. Koprowskiego, Z. Fijasa i Wł. Rymkiewicza wywiązała się dość ożywiona dyskusja, w której wzięli udział: L. Gomolicki, E. Szuster, Wł. Rymkiewicz, H. Safrin, S. Piętak, Cz. Scnabowski. Zaproszeni robotnicy z fabryk łódzkich — L. Hofman, D. Grinberg, Herbich, Władysława Małkiewicz i Maria Budzińska poruszyli m. in. zagadnienie wpływu wychowawczego literatury na człowieka (w związku z tym mówili o potrzebie spotkań pisarzy z bohaterami ich prac, konfrontacji reportażu z opisywanym środowiskiem itp.).

Na zebraniu tym odbyły się uzupełniające wybory do zarządu sekcji prozy. W skład nowego zarządu weszli koledzy: L. Gomolicki, B. Dudziński i T. Papier. Ustalony został również plan prac na najbliższy okres: 13.XI — opowiadanie T. Papiera „Pierwsza próba", referuje kol. E. Szuster; 27.XI — scenariusz filmowy „Lalka" (adaptacja powieści B. Prusa) — referuje kol. H. Jakóbczyk. W dalszych terminach zostaną omówione prace: A. Demkowskiej — „Wojna jest daleka", S. Szmaglewskiej — opowiadanie o zakładach im. Konopnickiej, J. Turszańskiej - Obarskiej — Cz. I powieści „Świt nad jeziorem" — „Zboże", (ref. kol. B. Dudziński), reportaż kol. T. Szewery o rurociągu wodnym Pilica — Łódź i nowa powieść S. Szmaglewskiej.

L. G.

PLANY PRACY POZNAŃSKIEJ SEKCJI POEZJI

(Sprawozdanie z posiedzenia Sekcji Poezji Poznańskiego Oddziału ZLP)

Sekcja Poezji Poznańskiego Oddziału ZLP rozpoczęła swą pracę w dniu 25.X.52. Zarząd Sekcji w składzie: przewodniczący E. Morski, sekretarz W. Odojewski, w porozumieniu z członkami ustalił kwartalny plan pracy. Na najbliższe zebrania, które odbywać się będą co dwa tygodnie, przewiduje się dyskusje nad przygotowanymi do druku tomikami E. Morskiego, W. Odojewskiego, K. Oleksika, oraz nad ostatnio wydanymi zbiorkami Kubiaka, Ficowskiego, Wirpszy i Hołdy. Oprócz dyskusji warsztatowych sekcja prowadzić będzie na każdym zebraniu tzw „kronikę aktualności" zawierającą omówienie nowości poetyckich publikowanych w prasie literackiej w okresie dwutygodniowym poprzedzającym zebranie.

W drugiej części zebrania członkowie sekcji dyskutowali nad przygotowanym do druku tomikiem kol. Bernsteina. W dyskusji podkreślono dużą wartość i dojrzałość artystyczną wierszy kol. Bernsteina, które są ciekawą i oryginalną pozycją, mimo jeszcze pewnych niedociągnięć natury ideologicznej. Kol. Morski zwrócił uwagę na dążność kol. Bernsteina do syntezy w większości utworów, na plastykę i dynamizm obrazów poetyckich oraz na pewne zbieżności z metodami obrazowania z poetyką wyobrażeniową. Jednocześnie jako wady wierszy wytknięto pojawiający się w niektórych utworach biologizm i pesymizm.

W dyskusji głos zabierali kol. kol.: Odojewski, Kogut, Kiryło-Nowaczyk, Kamiński i Oleksik.

Następne zebranie sekcji poświęcone będzie współczesnej poezji radzieckiej. Referuje kol. Morski.

(O.)

O WSPÓŁCZESNOŚCI I TRADYCJI W POEZJI

Na piątkowym zebraniu sekcji poezji warszawskiego oddziału ZLP w dniu 22.X. Mieczysław Jastrun wygłosił referat pt. „Współczesność a tradycja". Jak wynika z tytułu referatu miał on za zadanie wyjaśnienie co należy rozumieć przez tzw. korzystanie z tradycji kultury narodowej.

W dyskusji głos zabierali kol. kol. Michalski, Śpiewak, Matuszewski, Pollak, Dobrowolski, Stern, Słucki, Kogut, Pasternak, Timofiejew i Jastrun (słowo końcowe). Poruszali oni sprawy poezji dwudziestolecia, problem nowatorstwa, zagadnienie korzystania z dorobku postępowej poezji zagranicznej i in.

W jednym z najbliższych numerów czytelnicy „Nowej Kultury" będą mogli zapoznać się z głównymi tezami referatu Mieczysława Jastruna.

NAJBLIŻSZE ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH ZLP W WARSZAWIE

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że zebrania sekcji twórczych ZLP odbędą się:

W dniu 25 listopada b.r. we wtorek o godz. 17-ej sekcja dramatu; temat: omówienie libretta do oper i komedii muzycznych.

W dniu 26 listopada b.r. w środę o godz. 17-ej sekcja literatury dla dzieci; temat: Zagadnienie realizmu socjalistycznego w polskiej powieści współczesnej dla starszych dzieci.

Dyskusję zagaja Wanda Żółkiewska.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

Z fraszek łacińskich

KOMINIUSZ

Lud gdyby wyrokował, wnet byś, Kominiuszu
siwy wiekiem, lecz brudem obyczajów czarny,
dał ten język, co cnotę ośliniać przyuczon,
sępowi żarłocznemu na godziwy łup
wydarte oczy krukom o gardzieli gwarnej,
serce wilkom, a resztę zastępowi psów. **(według Catullusa)**

LIGURRA

Trwożnyś, żebym cię fraszką nie drasnął, Ligurro,
i godnym się uważasz mojej mocy?
Złudna trwoga, daremne czekanie, Ligurro.
Na byka lew libijski — tak, ochoczy,
ale motyla nie tknie. Szukajże, motylu,
jeśli czytan być pragniesz, wieszcza w knajpie:
podpił już sobie tęgo i na podłym dylu,
na obeszczanym murze wiersz odłamkiem
węgla wypisze, dzieło przygodnym obwiesiom.
Muzy — czoła twojego znaczyć nie pośpieszą.

(według Martialisa)

KORESPONDENCJA

Niszczyciele zabytków

W powiecie Lwówek Śląski jest miasteczko Wleń, gdzie m. in. znajduje się sanatorium dla pracowników Polskich Kolei Państwowych. Obok, na wysokiej górze stoi zamek z basztą z XI wieku. Z zamku pozostały ruiny, ale baszta wybudowana z kamienia trzyma się bardzo dobrze. Ruiny zamku otoczone są niewysokim kamiennym murem. W zamku tym w XIII w. mieszkał król polski Henryk Brodaty z królową Jadwigą z Trzebnicy. Na rozkaz królowej wybudowano kościółek, także z kamienia. Wszystko to są stare piastowskie zabytki.

Z wysokiej baszty roztacza się czarujący widok na Wleń i okolicę, toteż ściągają tu w dużej liczbie wycieczki krajoznawcze i szkolne. Wszystko byłoby dobrze... ale na przykład: z zamku, skąd prowadzą w dół kamienne schody, młodzieńcy dość chuligańskiego autoramentu wyrywają kamienie i rzucają je po schodach, aby patrzeć jak „skaczą". Kilku nicponiów wyłamało nawet ze szczytu baszty ogromną płytę i zrzuciło ją na dół. W ubiegłym roku z wierzchołka baszty zrzucono ławkę, na której odpoczywali strudzeni wspinaczką starsi wycieczkowicze.

Niedaleko zamku w nowożytnych już czasach wybudowany został dom-świetlica, upiększony freskami i malowidłami ściennymi. Sale w tej świetlicy wyposażone były w piece, bilard, stół do gry w ping-ponga, meble.

Dopiero w tym roku (nie w 45—46!) piecyki zostały rozwalone, zdemolowane okna i wyniesione meble.

Czy nie byłoby dobrze, aby jakaś powołana do tego instytucja zainteresowała się fatalnym stanem zabytków w Wleniu?

Korespondent ze Lwówka Śląskiego

Od Redakcji: Sądzimy, że od odpowiedniego urzędu konserwatorskiego otrzymamy należne wyjaśnienie.

W imię akcji „O"

W numerze 44 Nowej Kultury ukazała się notatka sprawozdawcza z wizyty poetów warszawskich w Krakowie. Wśród dyskutantów wymieniono nazwisko moje w zniekształconej formie. Brzmi ono Hordyński, a nie Horodyński. Podobieństwo nazwisk powoduje częste identyfikowanie mnie z Dominikiem Horodyńskim, aczkolwiek paramy się obaj różnymi gatunkami rzemiosła literackiego. Ostatnio np. otrzymałem list zaczynający się od słów: „Szanowny obywatelu pośle". W maju b.r. Wojewódzki Dom Kultury w Krakowie zaprosił mnie do sprzedawania i podpisywania moich książeczek. Niestety na miejscu okazało się, że nie było ani jednego tomiku moich wierszy, natomiast obficie zareprezentowano broszury Dominika Horodyńskiego.

W imię akcji „O" proszę o niedopisywanie identycznej samogłoski wewnątrz mojego nazwiska, a Redakcję „Nowej Kultury" o wydrukowanie niniejszej prośby.

Jerzy Hordyński

O wersje oryginalne filmów zagranicznych

Wśród publiczności filmowej, oglądającej obrazy zagraniczne, nie ma chyba człowieka, który by należał do entuzjastów czy zwolenników tzw. „wersji polskiej". Napisy, rozpraszające uwagę, w większości wypadków nie oddające ani ducha, ani sensu wersji oryginalnej, niejednokrotnie mętne, dezorientujące i jak się to mówi: „mało komunikatywne" — to plaga Nr 1. Próby zaradzenia tej pladze drogą dubbingu są przeważnie nieudane. To co w tej dziedzinie zrobiono z filmem włosko - francuskim „Mury Malapagi" jest najjaskrawszym przykładem odstraszającym. Ponadto jeszcze jedno: opracowanie filmu zagranicznego dla widza polskiego wymaga, obok dużego nakładu pracy — czasu. W rezultacie filmy zagraniczne, zakwalifikowane na nasze ekrany, pojawiają się z wielkim opóźnieniem i niejednokrotnie wskutek tego opóźnienia filmy nie spełniają swego zadania, gdyż w międzyczasie problemy, których dotykają, tracą ostrą, bezpośrednią aktualność.

Jak temu zaradzić, co zrobić, by ten stan rzeczy zmienić na lepsze? Zrezygnować z napisów i dubbingów? Broń boże! I napisy, i dubbingi, stale ulepszane, muszą pozostać, gdyż w przeciwnym razie filmy zagraniczne stałyby się dla większości widzów w Polsce jakąś abrakadabrą.

Czy nie należałoby jednak zastanowić się nad tym, by jeden choćby z kinoteatrów w Polsce, na razie w Warszawie, wyświetlał filmy zagraniczne w wersjach oryginalnych? Mamy wrażenie, że najkorzystniej odbiłoby się to na filmach radzieckich. Pomijając wcale niebagatelne względy artystyczne, spróbowanie tej drogi dyktują względy wychowawcze. Coraz liczniejsze są u nas zastępy ludzi, którzy albo uzupełniają dawną znajomość języka rosyjskiego, albo też dopiero przyswajają sobie ten język. Możność słyszenia go z ekranu, przy równoczesnej możności uczenia się kultury słowa, która w Związku Radzieckim osiągnęła poziom niezwykle wysoki, nie tylko pogłębiłaby i rozszerzyła doznania artystyczne, ale byłaby równocześnie pomocą przy przyswajaniu sobie przepięknej, arcybogatej mowy rosyjskiej.

Poza tym wyświetlanie filmów radzieckich w wersji oryginalnej, wspartej i uzupełnionej czymś w rodzaju krótkiego, inteligentnie opracowanego „libretta", przyczyniłoby się do tego, że ogromne rzesze widzów nie oglądałyby tych filmów, tak jak się to teraz dzieje, z ogromnym opóźnieniem.

Rzecz zrozumiała, że kinoteatr, który by wyświetlał filmy zagraniczne w ich wersji oryginalnej, nie powinien by ograniczać się wyłącznie do filmów radzieckich. Ekrany nasze wyświetlają i wyświetlać będą w coraz szerszym zasięgu przodujące, najbardziej wartościowe obrazy krajów demokracji ludowej, NRD, zapoznają z postępową produkcją filmową Zachodu. Zasięg publiczności, która mogłaby wszystkie te filmy konsumować w wersji oryginalnej, jest o wiele mniejszy od zasięgu widzów filmów radzieckich. Nie mniej i w tej dziedzinie zaznajamianie mniejszego z natury rzeczy kontyngentu odbiorców z wersją oryginalną ma swój sens i cel.

W ramach miesiąca pogłębienia Przyjaźni Polsko - Radzieckiej jedno z kin stołecznych wyświetla, na razie raz na tydzień, filmy radzieckie, w wersji oryginalnej. Są to sfilmowane przedstawienia teatralne, z repertuarów teatrów Moskwy i Leningradu. Inicjatywa słuszna i godna poparcia w tym kierunku, by sporadyczność i doraźność zastąpić akcją stałą o znacznie szerszym wachlarzu.

Jacek Frühling

Zmiana adresu redakcji „Nowej Kultury"

Redakcja „Nowej Kultury" zawiadamia, że od dnia 18 listopada lokal redakcji mieści się przy ul. Marszałkowskiej 90 (wejście od ul. Żurawiej lub Nowogrodzkiej, I piętro).

Najpoczytniejszy pisarz Chin współczesnych

Miliony czytelników w Chinach czyta obecnie z wielkim zainteresowaniem pierwszą powieść nowego pisarza, ukazującą się w odcinkach gazet i czasopism w całym kraju. Ta świetna powieść ujęta w formę autobiografii opisuje na zasadzie kontrastu stare i nowe życie w Chinach. Tytuł powieści — „Kao Yu-pao" jest zarazem imieniem i nazwiskiem autora.

Kao Yu-pao to 26-letni szeregowiec Ludowej Armii Wyzwoleńczej, który jeszcze 4 lata temu był analfabetą. Przed wstąpieniem do armii pracował jako parobek w służbie u właściciela ziemskiego. (Był zazwyczaj świniopasem).

W listopadzie 1947 wieś Fu została wyzwolona. Kao Yu-pao ujrzał po raz pierwszy Wyzwoleńczą Armię Ludową i wstąpił w jej szeregi.

Wojna wyzwoleńcza była dopiero rozpoczęta. Bojownicy ludu kroczyli od północnego wschodu szybko naprzód w kierunku południowej prowincji Kwangsi. W marszu żołnierze-analfabeci uczyli się czytać i pisać. W czasie tego długiego marszu (ponad 4 tys. kilometrów) każdy żołnierz Wyzwoleńczej Armii Ludowej niósł na swych plecach drewnianą tabliczkę z wypisanymi na niej chińskimi znakami — lekcją do nauczenia



Kao Yu-pao w rozmowie z dowódcą swojej brygady

się dla żołnierza kroczącego za nim z tyłu. Tak wyglądała nauka Armii Wyzwoleńczej i w taki sposób Kao Yu-pao nauczył się czytać i pisać.

W czasie długich i uciążliwych marszów Kao Yu-pao opowiadał towarzyszom ciekawe historie, do których tematy brał najczęściej z własnego życia. Żołnierze słuchali go chętnie i z przyjemnością.

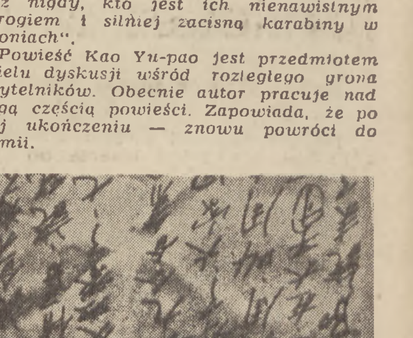
W sierpniu 1949 roku, gdy wojska stacjonowały w niedawno wyzwolonej miejscowości Changsha, do rąk Kao wpadła mała ilustrowana książeczka pt. „Lata chłopięce Mao Tse-tunga". Opowiadanie o tym, wśród jakich trudności kształcił się przewodniczący Mao w swej młodości, zainteresowało Kao Yu-pao i owładnęło jego myślami na przeciąg kilku dni:

„Dnia pewnego Mao zadał sobie pytanie, dlaczego bohaterowie wszystkich powieści, które czytał, to wszyscy i zawsze ministrowie, generałowie, naukowcy i piękności z tzw. towarzystwa a nie chłopi?"

„Kao Yu-pao odrzucił wszystkie stare powieści opisujące jedynie ministrów, generałów itd., i zadał sobie pytanie: „Czy nie można także i o biedniakach pisać w książkach?" „Dlaczego nie mielibyśmy napisać książki o cierpieniach, które przeszedłem i o innych ludziach znajdujących się w niedoli tak, by biedni to czytali?" — Tak powstały, dnia 27 sierpnia 1949 roku, pierwsze rozdziały powieści, zawierającej 300 tys. słów" — pisze jedno z pism chińskich recenzujących książkę.

W owym czasie Kao umiał napisać zaledwie 200 znaków chińskich, a więc zaledwie 20 procent tego co trzeba, by móc się wypowiedzieć. Ale — zamiast znaków których nie znał, zamieszczał rysunki. Zamiast znaku YEN oznaczającego oko — rysował oko; zamiast znaku MANG oznaczającego pojęcie „pracujący" rysował ludzką głowę zroszoną potem. W styczniu 1951 roku ukończył pierwszą część powieści — kopię przesłał do czasopisma PLA LITERATURE. W załączonym liście pisał: „Mam nadzieję, iż biedniacy po przeczytaniu mej powieści nie zapomną już nigdy, kto jest ich nienawistnym wrogiem i silniej zacisną karabiny w dłoniach".

Powieść Kao Yu-pao jest przedmiotem wielu dyskusji wśród rozległego grona czytelników. Obecnie autor pracuje nad 2-gą częścią powieści. Zapowiada, że po jej ukończeniu — znowu powróci do armii.



Fotokopia rękopisu powieści. Zwracają uwagę rysunki zastępujące odpowiednie znaki pisarskie

PRZEGLĄD PRASY ZAGRANICZNEJ

Kobieta w literaturze USA

W numerze czerwcowym amerykańskiego postępowego miesięcznika „Masses and Mainstream" ukazał się artykuł pióra Margarit Reiner na temat „Postaci kobiecej w literaturze amerykańskiej".

„Traktowanie kobiet w naszej literaturze — pisze autorka — stawia postępową krytykę przed wyzwaniem, którego nie można pominąć milczeniem. Pisarze, czytelnicy i krytycy tak przywykli do idei supremacji mężczyzny, że uważają ją za rzecz normalną. Na podstawie zasady supremacji mężczyzny w życiu, pisarze dają fałszywy obraz kobiety umacniając w ten sposób już istniejący przesąd obyczajowy".

Zjawisko to łączy się ze światopoglądem autora. Pisarze reakcyjni są w tym wypadku rzecznikami ideologii klasy panującej. Ich obraz kobiety jest stereotypowy.

Inaczej jest w powieściach radzieckich, gdzie oprócz „Matki" Gorkiego widzimy wiele innych kobiet-bohaterek pracy, stawianych na równi z mężczyzną w społeczeństwie socjalistycznym. Rola i pozycja kobiet znajduje też wyraz w literaturze demokracji ludowych, a szczególnie w literaturze Chin, gdzie kobieta w ciągu jednego pokolenia przechodzi z epoki feudalizmu do socjalizmu.

Bohaterka powieści amerykańskiej jest inna. Zobaczmy, jak wygląda ona w książkach wydanych w ciągu ostatniego roku. Pierwsze miejsce w tej literaturze zajmują prawdziwe czy też urojone problemy kobiety burżuazyjnej. Kobieta pracująca zaś traktowana jest jako „postać zabawna". Jest to np. pomocnica domowa — zwykła, nieciekawa osobistość. Dotyczy to szczególnie kobiet-Murzynek.

Założeniem powieści jest, że bohaterki, względnie ich mężowie, dysponują wystarczającą ilością pieniędzy, aby rozwiązać problemy domowe przy pomocy służącej. Przechodząc nad tym do porządku dziennego pisarz interesuje się jedynie osobą bohaterki burżuazyjnej.

Przez wybór tej treści pisarz fałszuje rzeczywistość. Podstawą istnienia kobiety burżuazyjnej jest bowiem ta zapomniana bohaterka klasy pracującej, stwarzająca ekonomiczne tło, na którym rozwijać się mogą dopiero „interesujące" problemy miłości i kariery kobiety kapitalistycznej.

Gdyby autor zajął się tym zapomnianym typem kobiety, stanąłby przed zagadnieniem wyzysku ekonomicznego, ograniczonych możliwości zarobkowych, trudności w zdobyciu wykształcenia i odpowiednich warunków życia. Dostrzegłby wtedy matki bez ogniska domowego, dzieci zaniedbane i niedorozwinięte, małżeństwa pracujące ciężko i niepewne swej przyszłości. Tego wystarczy, by pisarz unikał podobnie „niemiłego" tematu. Nie łatwo jednak przejść do porządku dziennego nad tymi kobietami. Żaden sukces gospodarczy w Ameryce nie byłby możliwy bez ich udziału. Kultura więc, oparta na przemilczeniu ich istnienia, staje się opuszczoną budową, zamieszkałą przez nieokreślone twory.

*

„Zadaniem kobiety jest miłość nie praca" i „Miejsce kobiety, to jej dom" — oto hasła usprawiedliwiające wyzysk ekonomiczny kobiety.

Jedna książka za drugą stwierdza, że kobieta znajduje szczęście tylko w swym własnym domu i w kręgu rodzinnym. Typowym przykładem takiej literatury jest książka pani Josephine Johnson pt. „The way things are". Kobieta nowoczesna jest w tej książce typem „kobiety złej". Idzie ona do pracy pozostawiając dzieci pod nieczułą opieką służących, oraz postępowych szkół, poza tym pije, gra w karty i uczęszcza... na zebrania. Mężowie nie są co prawda lepsi, ale rozwody, przestępczość wśród młodzieży i nastrój niepewności jest winą kobiet.

Dziewczyna „staromodna" jest zaś tu typem słodkim i dobrym, lecz niezdolnym do samotnego życia. Na szczęście znajduje się sympatyczny młody człowiek. Ślubne dzwony rozwiązują wszystkie problemy. Dziewczyna jest szczęśliwa, bo „wie gdzie jej miejsce".

Innym typem „dobrej kobiety" jest Phyllis z powieści popularnej pisarki Taylor Caldwell tp. „The Balance Wheel". Jest to dobra, czysta i cierpliwa kobieta, która łagodzi sprzeczki rodzinne, kocha męża i ze wszystkich nieszczęść wychodzi nie tracąc nawet włosa z głowy. Jej zadania to miłość, oraz gojenie ran, zadanych mężowi przez życie. Jej rola jest bierna, głównym jej atutem jest piękność.

Mamy tu też typ „kobiety złej". Jest nią Isabel, córka rzeźnika. Oszukuje swego męża, traci majątek i zdrowie. Gdy w końcu Isabel staje wraz z mężem przed ruiną swych planów, stwierdza sama jaka jest rola żony. „... my mamy tylko jeden problem: twoje szczęście, twój sukces, to, czego zapragniesz". W tym wypadku „zła" kobieta podporządkowuje się „wyższemu" mężczyźnie i staje się kobietą bierną — czyli „dobrą".

Mężczyźni dzielą się w tej literaturze na silnych i słabych — ci opanowani są przez kobiety, podczas gdy pierwsi nimi pomiatają. Miłość ta bynajmniej nie jest uczuciem między partnerami równymi. Jest ona tylko bronią na rynku matrymonialnym, gdzie kobieta stanowi towar.

*

Innym typem w literaturze jest kobieta „po czterdziestce" jak np. w książce „Wdowa" — pisarki Susan Yorke. Bohaterka powieści opisuje swój romans z człowiekiem młodszym, którego stopniowo doprowadza do samobójstwa. Zatraca się tu w ogóle ideę miłości, sprowadzając ją do poziomu trywialnego „sentymentu". Bohaterka „Wdowy" obraca się w świecie egocentryki, w którym nie ma miejsca tak dla prawdziwych uczuć, jak i dla jakiejkolwiek drugiej osoby.

Nowela Tennessee Williams „The Royal Spring of Mrs. Stone" pojęcie miłości sprowadza do transakcji kupieckiej. W utworze tym bogata wdowa, Amerykanka, mieszkająca w Rzymie, kupuje sobie kochanków, którzy ją o puszczają, znajdując bogatsze klientki. Autor stawia sprawę jasno: kobieta po czterdziestce musi kupić mężczyznę lub zdobyć go w jakikolwiek inny sposób, jeśli nie chce być skazana na samotność.

Od tego rodzaju miłości jest tylko krok do gloryfikacji gwałtu i siły. „New York Times Book Review", charakteryzuje tendencje literatury amerykańskiej na rok 1952 trzema słowami: „płeć, sadyzm i sensacja".

Księgarnie całego kraju stoją na usługach tego posłannictwa kulturalnego, gdzie kieszonkowe książki kryminalne mieszczą się obok wydawnictw antyradzieckich i antykomunistycznych. Książki podobne potrzebne są z jeszcze jednego powodu. Gdy samodzielność narodów kolonialnych wzrasta, wzrasta też terror szowinistyczny; podobnie coraz potężniejszy ruch kobiet walczących o wyzwolenie spotyka się z gloryfikają przemocy i sadyzmu seksualnego.

*

Z podanych uprzednio przykładów można sobie odtworzyć obraz kobiety z amerykańskiej powieści. Charakteryzuje ją stereotypowość, bierność i izolacja. Widzimy tu kobiety, które nie mają żadnych wspólnych celów ani nawet zainteresowań. Mają one swoje prywatne problemy i nie poczuwają się do wspólnoty z otoczeniem. Są pozbawione woli, uczuciowe na dziecinny sposób. Takie typy formuje ideologia wyższości mężczyzny — narzędzie panującej klasy, przeznaczone do zatarcia świadomości tak mężczyzny jak i kobiety. Zamiast krytyki warunków społecznych — tematem staje się urojony problem „walki płci". Pisarz postępowy, uświadomiony społecznie, zasad tych przyjąć nie może. Należy jednak podkreślić, że pisarze postępowi broniący godności człowieka bez względu na narodowość, wiarę i rasę nie zawsze podobne poglądy stosują do kobiet. Typowym przykładem jest tu książka Stefana Heyma „The Eyes of Reason". Bohaterki tej powieści niewyzbyte są przesądów i uprzedzeń, co czyni z nich w konsekwencji typy niepełne — w przeciwieństwie do trzeźwych i rozsądnych postaci mężczyzn w tej powieści.

Najbardziej jednak destrukcyjny wpływ na kształtowanie charakterów kobiecych powieści amerykańskiej ma niewątpliwie freudyzm. Dawne zasady religijne doktryn i antynaukowych przesądów zanikały, coraz mniej ludzi wyznawało teorię „niższości" kobiety. Freudyzm stanął w obronie tej teorii, stwarzając pseudonaukowe wyjaśnienie „niższości" kobiety i uzasadnienie stałego jej upośledzenia. Akcentowanie „popędu płciowego", jako podstawowego bodźca działania ludzkiego, miało ożywić zanikającą postać burżuazyjnej bohaterki. Typowym przykładem takiej ideologii jest utwór Abrahama Polonsky'ego pt. „The World Above". Jest to opis rozterki wewnętrznej młodego psychiatry, oraz jego zmagania się z problemami freudowskimi z jednej strony, a przeżyciami emocjonalnymi z drugiej. Rola, którą w jego problemach odgrywają kobiety, nie przyczynia się do rozwiązania jego trudności.

*

Są jednak pozycje, poszukujące nowych rozwiązań. Nowela Louisa Falsteina „The Face of a Hero" opisująca dzieje załogi samolotu amerykańskiego w czasie wojny oraz życie rodzin, pozostawionych w domu, wykazuje duże zrozumienie typów kobiecych.

Rzadkim typem jest też postać Dolly Hawkins w książce Myrny Page „With Sun in our Blood". Jest to opowieść o matce, żonie i córce górników. Typ ten winien stać się wzorem dla twórczych talentów literackich. Doskonała jest książka Lloyda Browna „Iron City". Autor postawił sobie za zadanie pokazać charakter kobiecy wyłącznie z punktu widzenia męskich bohaterów utworu. Mimo iż kobiety tu nie są bynajmniej ośrodkiem akcji, przedstawiono je jako typy silne i zdecydowane, bohaterskie na równi z ich mężami. Występują one czynnie w obronie swych mężów i uzyskują zwolnienie ich z więzienia.

*

Najwyższy już czas — konkluduje Margaret Renier w omawianym tu artykule — aby postępowi pisarze pozbyli się przesądów i nawyków myślenia kategoriami wyższości mężczyzn, oraz by podjęli świadomą walkę, celem której byłoby właściwe podejście do kobiet.

Rośnie ruch kobiecy w obronie pokoju. Mamy nowe bohaterki, godne, by stać się tematem wielkich dzieł literackich.

J. gr.

U amerykańskiego kolekcjonera



— ...A tę figurę kupiłem za bezcen...

Rys. Kiulin

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Marszałkowska 90 (wejście od Żurawiej) I p. Tel. 7 36 23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12. tel. 7 52 50.
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch", Oddz w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.— Wydaje RSW „Prasa". Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W wa, Poznańska 38, konto PKO I 5589/111, tel. 7 38 05
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5.

3-B-27197